Nr. 45. Poznań, Niedziela 10-go listopada 1895. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. **Redakcya:** Poznań, św. Marcin 22. II p. **Administracya:** Piekary nr. 6. **Rękopisów drobnych nie zwracamy.**

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

Treść:

Polityka szląska.

Reakcya przeciwko oficyalnym kandydatom partyi centrowej, która w ostatnich czasach zapanowała wśród górnoszląskich wyborców, wyraźny składa dowód, jak uciążliwym jest dla polskiego ludu na Szlązku sojusz jego z centrum. Szląski ruch ludowy nie uświadomił sobie jeszcze dość jasno swych zadań politycznych, jest on dziś jeszcze niemal odruchem tylko niezadowolonych z istniejącego stanu rzeczy mas wyborczych. Lecz właśnie w tej jego żywiołowości tkwi największa jego *„raison d'être“*. Nie jest on bowiem skutkiem mniej lub więcej zręcznej agitacyi lub propagandy niewielkiego grona ludzi, lecz prawdziwą potrzebą, mającą źródło swe w podstawowych uczuciach szerokich warstw ludowych. Korespondenci „Przeglądu Poznańskiego“ dali już naszym czytelnikom aż nadto przykładów, jak owe uczucia narodowościowe szląskiego ludu gwałcone są na każdym kroku przez stronnictwo centrum, — byśmy je mieli na nowo przeliczać. Zadowolnimy się tu tylko wyprowadzeniem z nich ogólnego wniosku: *Stronnictwo centrum jest partyą niemiecką. Kierownictwo jego leży w ręku warstw uprzywilejowanych, lub duchowieństwa, które wskutek swego społecznego i kulturalnego stanowiska największą z temi warstwami czuje łączność. A jako takie, musi stronnictwo centrowe z konieczności rzeczy hołdować zasadom germanizacyjnym.* Charakterystyczną bowiem cechą nowoczesnej naszej cywilizacyi jest dążność poszczególnych grup kulturalnych do możliwego rozszerania się po za właściwe granice narodowościowe, do podbijania pod swe panowanie słabszych kultur. Wiek dzisiejszy, to wiek germanizacyi, rusyfikacyi, madyaryzacyi itd. I wszystkie te warstwy społeczne, stojące u steru cywilizacyjnego życia, muszą z fatalną koniecznością streszczać w sobie owe zaborcze tendencye ducha ludzkiego. Inaczej bowiem nie byłyby sobą. Choć więc rozliczne partye uprzywilejowanych klas niemieckich różnią się w swych poglądach na metodę germanizacyi, przyczem jedne z nich domagają się surowych repressalii, inne znów żądają łagodniejszych środków, nie mniej przeto w głębi serca wszystkie one dążą do wynarodowienia Polaków, wchodzących w skład niemieckiego państwa.

Wyborcy polscy na Szląsku zrozumieli to dziś pomiekąd. Światlejsza przynajmniej i samodzielniejsza ich część przestała już wierzyć pozornie nam przychylnym frazesom przywódzców partyi centrowej.

Mniejszą natomiast zwrócono uwagę na ów społeczny rozdźwięk, co również zasadniczo różni ludność górnoszląską od dotychczasowego jej politycznego sojusznika. W skład partyi centrum wchodzą wszystkie niemal klasy i stany, poczynając od najwyższej arystokracyi, a kończąc na najniższych warstwach robotniczych. A wobec tego społeczno-polityczny jej program musi być aglomeratem najprzeróżniejszych tendencyi. Zawiera on obok niektórych skrajnie postępowych i demokratycznych żądań, wyraźnie reakcyjne aspiracye. I wszystkie te, nieraz wręcz sobie przeciwne kierunki, nie łączą się bynajmniej w jakąś jednolitą organiczną całość, lecz zależnie od chwilowego zbiegu okoliczności ustanawia się między niemi czasowy *„modus vivendi“*, przyczem to jedne, to drugie wysuwają się na plan pierwszy. Poprzednio, za czasów walki kulturnej wspólny interes religijny łączył różnorodne te żywioły i tylko dzięki niemu, nie rozpadło się centrum na swe składowe części przy lada konflikcie rozlicznych ich interesów. Dziś miejsce jego zajęła inercya polityczna, autorytet, którym się dawni przywódzcy cieszą, wreszcie wspomnienia wspólnych cierpień i bojów. Oczywiście, są to nieraz potężne nawet bardzo czynniki społecznego życia, z któremi należy się poważnie rachować. Niemniej przeto pozostaje pewnikiem, setki razy stwierdzonym przez dzieje, że ostatecznie decydującym motywem społecznej działalności narodów i ich poszczególnych grup, są interesa bieżące, że tradycya musi zawsze ustąpić wymogom dnia dzisiejszego.

Tymczasem interes stosunkowo jednolitej pod względem społecznym, bo składającej się z samej niemal klasy robotniczej i chłopów, górnoszląskiej ludności polskiej, wymaga również jednolitszego programu społecznego. Nie da się co prawda zaprzeczyć, że między włościaństwem a proletaryatem miejskim istnieją poważne różnice. Są one wszakżeż znacznie mniejsze, niż te, które dzielą chłopstwo od większej własności ziemskiej lub proletaryatu od burżuazyi. Włościanie, drobne mieszczaństwo i robotnicy — to klasy ludowe. Stanowią one wszędzie główne podwaliny demokratycznych prądów, i jako takie są naturalnymi swymi sojusznikami w początkach rozwoju samodzielnej politycznej ich myśli. Gdy zaś stopniowe różniczkowanie się społeczeństwa doprowadzi obóz demokratyczny do rozpadnięcia się na odrębną partyę proletaryatu i partyę chłopską, to i wtedy pozostaje jeszcze cała masa wspólnych obu tym klasom punktów, przedewszystkiem zaś wszystkie te żądania czysto politycznych swobód, które wypełniają właściwy program demokratyczny. *Wyraźny więc, niczem nie maskowany demokratyzm jest historyczną koniecznością na Górnym Szląsku. Sojusz jednak tamecznej polskiej ludności z partyą centrum nie pozwala mu się dostatecznie rozwinąć i paczy go bezustannie.*

Charakterystyczną powyższego ilustracyą jest „Katolik“ ze swym dodatkiem „Pracą“. „Katolik“, występujący od niepamiętnych czasów jako główny przedstawiciel centrum na Górnym Szląsku musi i dziś jeszcze mniej lub więcej stosować się do nastroju, panującego w reprezentowanem przez siebie stronnictwie. Wymija on też starannie wszystkie draźliwsze kwestye społeczne, zbywa je najczęściej ogólnikami, a nawet milczeniem, co najwyżej zaś streszcza przemówienia najpopularniejszych posłów centrowych. „Praca“ natomiast jest czysto lokalnem pisemkiem. Jako taka stara się ona możliwie odpowiedzieć wymaganiom miejscowej ludności. Jest więc demagogiczna *„à outrance“*. Tonem swym, epitetami, któremi traktuje pracodawców, a nawet niektóremi poszczególnemi hasłami licytuje ona formalnie „Gazetę Robotniczą“. Jeśli tylko które z żądań, wystawionych przez polską partyę socyalistyczną, zyskuje dla siebie opinię ludności górnoszląskiej, — „Praca“ natychmiast je podchwytuje, by, o ile można, w jeszcze ponętniejszej formie przedstawić je swym czytelnikom.

„Katolik“ nie oponuje nigdy formalnie „Pracy“. Toleruje on jej demagogiczne występy. Lecz całym swym duchem, nawskróś pojednawczym i kunktatorskim zaprzecza wciąż bojowniczym okrzykom swego *dodatku*. Oczywista, iż koniecznym tego skutkiem jest dwulicowość i nieszczerość społeczno-politycznego stanowiska „Pracy“, która musi się z redakcyą „Katolika“ rachować, jako też i czynności „Związku wzajemnej pomocy“, stojącego pod moralnym patronatem obu tych pism. Nastrój ludności miejscowej zmusza „Pracę“ i mówców „Związku“ do możliwie demokratycznego stawiania kwestyi. Wiedzą oni jednak z góry, że głoszonych zasad nie będą wstanie przeprowadzić, bo „centrum“ nie podejmie się nigdy ich reprezentacyi i obrony w parlamencie i sejmie. A w takim razie demokratyzm musi się

przeradzać w zwykłą demagogię, szkodliwą i dla mas, co jej słuchają, i dla przywódców, co ją głoszą.

Tak więc oba względy, i narodowy i społeczny, przemawiają za oddzieleniem się Polaków Górnoszląskich od Centrum. Sojusz z niem bowiem jest zarówno dla narodowego jak i dla społecznego ich rozwoju szkodliwym. I dziwić się tylko należy, że ludowa opozycya na Szląsku nie zdobyła się jeszcze na ten krok stanowczy. Gdyby nawet nie istniały żadne antagonizmy między interesami polskiej ludności na Szląsku a interesami katolickich Niemiec, — to i wtedy należałoby się Górnoszlązakom ukonstytuować się w odrębne stronnictwo, by zapewnić sobie zupełną samodzielność swych czynności. Przykład polskiej partyi socjalistycznej godzien w tym względzie naśladownictwa. Gdy wszakże socyalistów polskich nie różnią żadne zasadnicze względy od ich towarzyszy niemieckich, — to o ileż konieczniejszą staje się polityka wolnej ręki dla demokracyi szląskiej, krępowanej i karykaturowanej przez sojusz jej z Centrum.

Ludowy ruch szląski nie zajął jeszcze dotychczas dość zasadniczego względem centrum stanowiska. Wystąpił on z opozycyą przeciwko pojedyńczym osobistościom, kontragitował przeciwko niemiłym mu kandydatom centrowym, postarał się o większą niezależność polskich komitetów miejscowych od centralnego komitetu niemieckiego, przeniósł wreszcie punkt ciężkości do zgromadzeń wyborców, — lecz nie wypowiedział jeszcze oficyalnie służby partyi centrowej, nie proklamował jeszcze swej samodzielności.

Miejmy jednak nadzieję, iż niedługą już jest chwila, gdy wybierani przez lud polski na Szląsku posłowie polscy nie będą wstępować w szeregi centrum i w ten sposób zadawać kłam opozycyi, poprzedzającej ich wybór. By nie było żadnych niedomówień, musimy tu zwrócić uwagę i na skutki, które z oczekiwanego przez nas kroku Górnoszląskiej demokrakcyi wyniknąć muszą.

Oddzieliwszy się od Centrum, może się ona ukonstytuować jedynie w polską narodowo-demokratyczną partyę. Wszelki separatyzm górnoszląski musi jej być obcym. W imię to bowiem myśli narodowej zażąda ona dla Górnego Szląska niezależności od Centrum, a wszelki szczery demokratyzm sprzeciwia się zasadniczo prowincyonalnemu zasklepieniu. *Naturalną powyższego konsekwencyą byłoby złączenie się Górnego Szląska z Poznańskiem w jedną organiczną całość. Nie należy się wszakże łudzić nadzieją.* Dzisiejsze Koło Polskie nie zgodzi się prawdopodobnie przyjąć do swego łona posłów górnoszląskich. Nie może ono bowiem zaprzeczyć, ani tylokrotnym swym zapewnieniom, że w imie wiedeńskich traktatów zrzeka się wszelkich wpływów na Szląsk, ani wreszcie swej polityce ultra-lojalności, nakazującej mu przedewszystkiem łagodzić obawy Niemców o zdobyte przez nich na ziemiach polskich pozycye. *Z konieczności więc demokracya górnoszląska będzie musiała wystąpić jako samodzielna, niezależna i od Centrum i od „Koła“ demokratyczna partya polska. Zerwie ona ową fałszywą solidarność narodową, która w rzeczy samej oznacza tylko bierną uległość narodu wobec arystokratyczno-klerykalnej oligarchii. Natomiast jednak zaciśnie ona ściślejszy węzeł między ruchem ludowym poznańskim i szląskim i stworzy jądro, koło którego z czasem ugrupuje się jednolita demokracya polska pod zaborem pruskim, ożywiona tym samym szerokim duchem narodowym, który panuje w budzącej się dziś również do życia demokracyi galicyjskiej.*

Str.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

W sprawie wyborów w pszczyńsko-rybnickim okręgu piszą „Nowiny Raciborskie“ w Nr. 132:

„Całkiem nie pojmujemy, z jakich powodów zwracają się centrowe gazety niemieckie do koła posłów polskich w parlamencie z zapytaniem, długoli będą się jeszcze spokojnie przypatrywali „działaniu polskich agitatorów i podburzaniu przeciw centrum lub popieraniu ich w gazetach poznańskich“. Powtarzamy wyraźnie, że podobnego pytania nie rozumiemy. Koło posłów polskich nie ma na Szlasku żadnego wpływu, więc nie może też tu ani nakazywać czegoś, ani zakazywać, zwłaszcza, że wybieraliśmy zawsze posłów, którzy przyrzekali, że przystąpią do centrum. Ze gazety polskie poznańskie cieszyły się i cieszą, ile razy lud polski w wyborach zwyciężył, to rzecz naturalna, ale ich zdanie nigdy nie rozstrzygało i o ich zdanie się nie pytano. Jedynie z d a n i e l u d u samego było i będzie nadal m i a r o d a w c z e m. Lud, który tym razem posłem obrał sobie p. Radwańskiego, choć o nim w Poznaniu ani wiedzieli, będzie wybierał i nadal tylko wedle swego sumienia i przekonania i nie posłowie polscy ani gazety w Poznaniu, tylko on sam sobie będzie wybierał obrońców wiary i języka ojczystego!“

Tej samej kwestyi poświęca „Dziennik Kujawski“ w Nr. 250 następujące uwagi:

Kto zna stosunki w obu tych powiatach, ten rzeczywiście przyznać będzie zniewolony, że palec Boży temi wyborami kierował. Z jednej strony siła i potega, przewaga materyalna, z drugiej ubóstwo, zależność i zupełne opuszczenie. Nikt bowiem biednemu ludowi tamtejszemu w tej walce wyborczej nie przewodził, nikt nie agitował na zebraniach, nikt mu otuchy i nadziei nie dodawał wystarczyło, że gazety polskie wymiarkowawszy wolę ludu, zgodnie wymieniły kandydata odpowiedniego, — aby zapewnić mu świetne zwycięstwo i zgotować upadek kandydatowi niemieckiemu. Przywódzcą i kierownikiem ludu w tej walce było tylko jego sumienie i jego silne przywiązanie do narodowości polskiej, jego gorące poczucie obowiązku obywatelskiego. W pierwszej chwili zdawało się, że udział w wyborach będzie mały. ale i to się nie sprawdziło. W roku 1890 oddano tam bowiem przy wyborach razem 19,279 głosów, w roku 1893 około 20,000, — teraz zaś przeszło 17,0.0 głosów, więc różnica nie tak wielka. Mimo swej zależności lud śmiało i z uznania godną odwagą szedł do urny wyborczej, aby zadokumentować swe poczucie polskie, spełnić swój obowiązek. Niejedna tam pewnie rodzina przypłaci tę odwagę utratą chleba lub przykrościami rozlicznemi, niejedna krwawa łza popłynie, głod, nędza będą dla niejednego z tych śmiałych bojowników nagrodą za spełniony obowiązek obywatelski, ale nie złamie to ani ludu, ani dotkniętych niedolą taką jednostek. Toć wiedzieli z góry co ich czeka; jak żołnierze idą do boju mimo gradu kul i grożącej im na każdym kroku śmierci, tak lud ten dzielny szedł do urny wyborczej, nie bacząc na gromy jakie śmiałe takie wystąpienie ściągnąć może na jego głowy.

O walce górnoszląskiej takie wypowiada zdanie „Orędownik“ w Nr. 252.

„Owe złudne frazesy i budowane na nich nadzieje, że co się na G. Szląsku dzieje, to się dzieje wyłącznie skutkiem owego węża morskiego, którego na G.

Kandydat na radcę.

OBRAZEK KRAKOWSKI.

(C i ą g d a l s z y).

Trudno jest wyliczać wszelkie szczegóły planu kampanii, która miała zdobyć serca i wpływy konserwatywne dla kandydatury p. Antoniego. Liberałów postanowiono na razie unikać, ale ponieważ djabeł nie śpi, a więc i liberały górą być mogą, co się omal przy ostatnim wyborze do Rady Państwa nie stało, należy przeto być z nimi grzecznie, nie angażować się, a czekać zebrania przedwyborczego. Jeżeli na niem zwyciężą liberały, wtenczas dopiero całą siłą pary trzeba będzie uciekać z objęć konserwatywnych, a dążyć do raju postępowego.

Buteleczka „kapki“ u Gralewskiego zakończyła naradę, a pan Antoni Zywokost na Gandziarach Gandziarowski ulżył swemu pugilaresowi, wręczając panu Filipowi kwotę 50 złr„ jako zadatek na agitacye, mającą wynieść panią Antoniową do godności radczyni.

II.

Pan Antoni przez dwa tygodnie pilnie wypełniał swe kandydackie obowiązki według recepty przepisanej przez pana Filipa. Nabożeństwo majowe zmienił na czerwcowe, dawał się wszędzie poznać jako mąż lojalny, obywatel spokojny, dbały o cześć dla tradycyi i zdrowych zasad, będących jedyną opoką przeciw falom rozhukanego liberalizmu. Wszędzie wokoło napotykał pewność siebie; konserwatyści z uśmiechem ironii spoglądali na zabiegi liberałów, lekceważyli sobie „garstkę warchołów“ i twierdzili, że dość im przyjść, a zwyciężą. Pan Antoni, człowiek nie bez sprytu, bał się z początku nieco tej pewności, zdawało mu się, że gra tu rolę spora doza zarozumiałości, ale w końcu widząc, że wszyscy tak myślą i mówią, chciał się już odważyć na krok stanowczy i zdemaskować się wobec liberałów. Szczęściem w stanowczej chwili nadbiegł pan Filip i z tajemniczą miną szepnął mu do ucha następującą przestrogę: „siedź cicho, bo kto wie co będzie. Wczoraj w knajpie „pod Fujarą“ dosłyszałem, że liberały mają otrzymać sukurs od żydów z Kazimierza, a i tu pomiędzy klasą rzemieślniczą uzyskali silny zastęp zwolenników. Przycupnij do jutra. Jutro będzie zgromadzenie przedwyborcze, przyjdę po ciebie, a potem zobaczymy“.

Zgromadzenie przedwyborcze odbyć się miało w środę. Noc z wtorku na środę przespał pan Antoni w ciągłej trwodze. Rankiem śnił mu się jakiś pan w mundurze, otoczony hrabiami, profesorami, który mu życzliwie podawał rękę i smarował miodem po twarzy. Kiedy się oblizał, czuł, że go piecze i ujrzał w dali ognistego smoka, który ogonem swem dosięgał owego pana w mundurze i tryskał z paszczy gęstą smołą w stronę hrabiów i profesorów. Powstał wielki krzyk i lament, latały po powietrzu ręce, nogi, nosy, a smok przemienił się w pannę przecudnej urody, która puściła się w walca na trzy pas z posłem Romanowiczem. Raptem zaszumiało, rozeszła się woń czosnku i cebuli, i wszyscy aktorzy tej sceny wpadli w przepaść straszną, ciemną, nad którą złotemi głoskami widniał napis: „Czas“. Po chwili wpadł jakiś rycerz w przyłbicy, złapał ręką za wieżę ratuszową, porwał ją, posunął wskazówkę zegara o pół godziny, kichnął, wieża ratuszowa wyleciała mu z ręki i rozbiła się na same półbeczki piwa pilzneńskiego. Jedna z tych beczułek toczyła się, toczyła, aż uczuł ją pan Antoni na nogach, potem na brzuchu i piersiach... Szarpnął się i obudził. Przy nim stała żona, która przykrywała go kołdrą, zrzuconą wśród trapiących go sennych widziadeł.

Rano wstał pan Antoni bledszy niż zwykle. Głowa go nieco bolała, był jakiś nieswój, rozdraźniony. Na ból głowy dobra „koniferynka“, a na rozdraźnienie „jarzębiak“. Golnął więc co było pod ręką, przeszedł się po plantacyach, zjadł obiad i oczekiwał pana Filipa.

Ten stawił się na słowo. Przyniósł z sobą dwie kartki wyborcze: mniejszą i większą. „Ta większa. mówił do Antoniego, zawiera kandydatów do komitetu przedwy-

Szlązku nazywają „agitacyą wielkopolską“, że to jest tylko chwilowe i przemienne wywołane naleciałościami przelotnych doktryn — wszystkie te frazesy i nadzieje zawiodą, bo się rozbiją o instynkt ludu górnoszląskiego: że księża górnoszlascy wskutek zachowania się swego w latach ostatnich, świadomie, czy nieświadomie, mogą się łatwo stać — przedłużonem ramieniem germanizacyi!

To jedno starczy, żeby cały lud górnośląski zmobilizować przeciw politykującym księżom, gdy się okaże potrzeba tego.

Pisaliśmy przed wyborami, że w tej walce miedzy ludem a księżmi osoby kandydatów nie odgrywają roli, że chodzi o wpływy i siłę: kto kim będzie rządził, czy księża ludem, czy lud sobą samym. Dzień 24 października rozstrzygnął tę walkę i walka zakończyła się klęską księży górnośląskich, — klęską taką, jakiej narod polski w swych dziejach porozbiorowych w Galicyi i w zaborze pruskim nie zna“.

Z powodu setnej rocznicy trzeciego rozbioru Polski znajdujemy w „Przeglądzie Wszechpolskim“ między innemi następujące uwagi:

Cicho przejdzie w Polsce rocznica ostatniego rozbioru. Dla wielu nawet, tam, gdzie legalnem słowem drukowanem ogłosić jej nie wolno, w zaborze rosyjskim, przejdzie ona niepostrzeżenie. Nie jest to dobrze. Aczkolwiek wielkie rocznice nie są epokami dziejowemi, to jednak ustalił się zwyczaj święcenia ich odpowiednio do treści, radośnie lub żałośnie, a sam akt obchodu ma znaczenie polityczne, dając sposobność do zbiorowych wystąpień, do wygłaszania haseł przewodnich — i moralne przez wpływ, jaki te wystąpienia wywierają na cały ogół, na szerokie masy ludu i na młode pokolenia. Ale nie wiadomo, czybyśmy się zdobyli na wystąpienie, odpowiadające powadze tej wielkiej i bolesnej rocznicy, w takim zaś razie lepiej jest, że przejdzie ona cicho. Zle będzie tylko tam, gdzie przejdzie ona niepostrzeżenie, bo każdy Polak powinien wiedzieć o dacie tego faktu, od którego dziś nas dzieli to stulecie.

Nie można powiedzieć, żeby rocznica ta zastała nas w chwili bardzo pomyślnej, w chwili wielkiego zwrotu ku lepszemu. Przyszła ona zawcześnie na to, ażebyśmy w dniu żałoby mogli śmiało powiedzieć, iż naród nasz po długich latach ciężkiej niewoli, po długich latach syzyfowej pracy, bohaterskich wysiłków i rozczarowań, wszedł ostatecznie na drogę, prowadzącą prosto do urzeczywistnienia najświętszych jego celów. Przeciwnie, chwilę dzisiejszą znamionuje wahanie się i brak przewodniej myśli narodowej. Robimy wrażenie społeczeństwa, które nie ma siły i odwagi spojrzeć w przyszłość, po za granice dnia dzisiejszego. Scierają się u nas wszelkiej barwy żywioły, poczynając od reakcyjnych a kończąc na radykalnych, od potrójnie lojalnych do rewolucyjnych — zewsząd słyszymy krytykę i wzajemne złorzeczenie sobie, ale nikt nie sięga w dalszą przyszłość, nie próbuje na podstawie danych dnia dzisiejszego zbadać losów, jakie nas jutro czekają, nie nakreśla śmiało kierunku, w którym pójść trzeba, by nie zbłądzić.

Jesteśmy rozczłonkowani...

Uderzając się w piersi, musimy się przyznać do tego i przypisać sobie samym wielką część winy. Narodowi naszemu nie brakowało zdolności twórczej w wielu kierunkach, nie brakowało męztwa i chęci poświęcania się, nie brakowało sił żywiołowych, które są podstawą wszystkiego, na których wszelki plan działania opierać się musi. Ale zawsze cierpieliśmy na brak myśli politycznej, i im trudniejsza była chwila, im bardziej wikłały się warunki naszego życia, tem bardziej się ten brak uwydatniał. Nigdy zaś pewnie nie byliśmy tak pogrążeni w odmęcie różnego rodzaju zagadnień, jak w chwili dzisiejszej. To nas w części z naszego bezplanowego postępowania usprawiedliwia.

Zaden naród nie ma w swem życiu tylu nierozwiązanych zagadnień, ile my ich posiadamy.

LITERATURA I SZTUKA.

Żegota Pauli.

Kto w ciągu ostatnich lat dwudziestu kilku zwiedzał bibliotekę jagiellońską, ten w pierwszej na lewo małej sali, będącej pracownią Estreichera, za pierwszym rzutem oka mógł ujrzeć siedzącego przy małym stoliku, naprzeciw drzwi wchodowych, nizkiego, zgarbionego starca, zajętego robotą bibliograficzną. Jeżeli ten starzec zainteresował swoją fizyognomią, to zwiedzający musiał zauważyć bystre jego oczy, z pod gęstych brwi patrzące, twarz pomarszczoną, rzadkie wąsy na wargi spadające, a na łysinie jakieś olbrzymie guzy dziwnego kształtu. Kto zaś przyszedł nietylko dla zwiedzenia książnicy, lecz pragnął dotrzeć do jej źródeł, lub zaczerpnąć pewnych wskazówek czy wiadomości naukowych, temu z pomocą przychodził Estreicher, Wisłocki, albo ten zgarbiony starzec, noszący równie dziwne i oryginalne, jak jego postać, nazwisko Żegoty Paulego. W człowieku tym bowiem złożoną była istna skarbnica wiadomości historycznych, archeologicznych, literackich i bibliograficznych, nazywano go też słusznie „chodzącą encyklopedyą“. Tylko karty tej encyklopedyi nie otwierały się dla każdego. Czasem tak szczelnie były zamknięte, iż żadnym kluczem nie udało się ich otworzyć. Zależało to od kaprysów humoru Paulego, od tego, czy żądający informacyi i wskazówek podobał mu się, zależało wreszcie od przedmiotu...

Oryginalna postać, dość oryginalne nazwisko i oryginalne zachowanie się, łączyły się i z oryginalną przeszłością zmarłego.

Urodził się Pauli w Nowym Sączu, 1 lipca 1814 r. Ojciec jego Maciej, z zawodu krawiec, był wprawdzie Niemcem, ale kto miał matkę polską (Zofię z Wojciechowskich) i kto przez lat 81 żył w polskim kraju, w którym się i urodził, ten, rzecz prosta, musiał zapomnieć o swem niemieckiem pochodzeniu. A zapomniał o niem Pauli dość wcześnie, bo choć zapisany w metryce jako Ignacy Jakób, już około 15-go roku życia składał rymy, pod któremi podpisywał się spolszczonem z Ignacego imieniem Żegoty. Kiedy ojciec o tem się dowiedział, jako Niemiec zacięty, wpadł w gniew i zagroził mu wydziedziczeniem. Ale Ignacy-Żegota jakoś na to nie zważał, a ojciec, czy zapomniał o groźbie, czy nie miał czasu jej uskutecznić, bo umarł niebawem, dość, że młody Żegota został wraz z siostrą współwłaścicielem pozostałej po ojcu kamieniczki.

W N. Sączu skończył Pauli 6-klasowe gimnazyum. Był rówieśnikiem Dunajewskich, przyszłego ministra i kardynała, i zapewne kolegował z nimi, bo dobrze w ich pamięci był zapisany, jak świadczą notaty Estreichera. Proboszczem nowosądeckim był wówczas ks. Głowacki, wielki podobno oryginał, a który lubo nieznany w literaturze, był jednym z pierwszych naszych etnografów. Zbierał przysłowia, pieśni i podania ludowe, kochał się w starych książkach i rękopisach. Jedna z jego stancyjek cała zarzucona była drukami i szpargałami. Zaglądał do niej młody Pauli i zaczął kochać to, co ukochał Głowacki. Już w r. 1829 chodził po okolicznych

---

borczego według myśli reformistów, a ta mniejsza jest listą stańczykowską. U stańczyków mamy już nieco miru; lepiej dla ciebie byłoby, aby przeszedł ich komitet, ale o ile uważam, biorą się do tego nieco opieszale. Liberały gotowi zwyciężyć, a ponieważ stańczyki wmawiali od lat kilkunastu w naród, że należy głosować za listą Komitetu legalnego, mogą przeto zginąć od własnej broni. Na wszelki wypadek masz oto listę liberalną, poprzekreślaj na niej wszystkie nazwiska i wpisz zamiast nich wszystkie z listy stańczykowskiej...“

Pan Antoni spojrzał zdziwiony na pana Filipa. Ten z uśmiechem wyższości i zadowolenia ciągnął dalej: „jeżeli, co przypuszczać należy, do skrutynium powołani zostaną liberali, wtenczas ty oddasz tę listę. Głosować będziesz za stańczykami, a formatem karty zwiedziesz liberałów. Będą pewni, żeś liberał i zanotują ciebie w pamięci“.

Pan Antoni w milczeniu uścisnął dłoń genialnego przyjaciela i ołówkiem konserwatywnym na papierze liberalnym zaczął pisać: Armółowicz, Asnyk...

Tu zatrzymał się. „Kto to taki?“ zapytał.

— Właściciel realności na ulicy Łobzowskiej, odpowiedział pan Filip z ironicznym uśmiechem.

— Dużej?

— Parterowej.

— Phi! — bąknął pan Antoni i pisał dalej.

Kiedy już lista była wypełnioną, napili się przyjaciele „dla kurażu“ po kieliszku gdańskiej i ruszyli do magistratu.

Nie będę opisywał przebiegu zgromadzenia, bo to należy do historyi. Inne pióro zanotowało już wiekopomną klęskę stańczyków i zwycięstwo liberałów.

Pan Antoni pozostał do ostatka i kiedy już tylko kilku głosujących było na sali, z całą powagą zbliżył się do urny i wrzucił swą listę liberalną, pełną zdrady, bo konserwatywnej treści. Skrutatorzy widząc z nim pana Filipa, nie omieszkali zapytać tego ostatniego, kto to jest tak zacny obywatel. Objaśnienie przyjęto do wiadomości z należytą czcią dla dwóch kamienic i gruntu nad Rudawą.

— Teraz, kochany Antoni — rzekł, będąc już na ulicy pan Filip — idź do domu i czekaj. Skoro się dowiem o wyniku głosowania, zaraz do ciebie przyjdę i obmyślimy co dalej czynić nam należy.

Usłuchał pan Antoni rady przyjaciela i z niecierpliwością oczekiwał przez dwie godziny wiadomości, mającej zdecydować o jego zasadach. Prawdę powiedziawszy wolałby zostać konserwatystą, bo pomijając już to, że wyrobił sobie pomiędzy Stańczykami pewne stosunki, zawsze to przyjemniej należeć do jednego stronnictwa z hrabiami, dyrektorami, profesorami, niż z jakąś tam hołotą, co buty bierze na kredyt, a ubranie spłaca ratami. A jeżeli oni przyjmują do siebie jakąś biedę, co ledwo parterową realność i to na Łobzowzkiej posiada, toć przecie jemu, Żywokostowi na Gandziarach, poczesne między nimi przypadłoby miejsce.

Losy jednak chciały inaczej. Nie było danem panu Antoniemu „bronić tradycyi“, musiał iść w szeregi „walczących przeciw zgniliźnie reakcyi“.

Punkt o ósmej wpadł pan Filip z okrzykiem: zwyciężyliśmy!

— Górą więc konserwatyści?! — zawołał pan Antoni.

— Ale gdzież tam, górą my, liberali! Pobiliśmy stańczyków na głowę. Lista nasza była liberalniejszą o jednego żyda i stopięćdziesiąt głosów żydowskich więcej padło na naszą stronę. Niema czasu, Antoni, zbieraj się — idziemy!

— Gdzie? — zapytał oszołomiony kandydat.

— „Pod Fujarę“ — tam nasza partya święci zwycięstwo. Chodź, a nie zapomnij języka w gębie, spustu w gardle i pieniędzy na „fundę“. Tylko zręcznie, a górą nasza. Od dziś za dwa tygodnie żona twoja zostanie radczynią — jakem Filip.

Pan Antoni uczuł w tej chwili, że w żyłach jego zaczyna kipieć krew demokratyczna. Rzucił pod stół rękawiczki, przez które dotykał się wczoraj dłoni pana hrabiego i wdziawszy z fantazyą kapelusz, oparty na ramieniu pana Filipa, ruszył „pod Fujarę“.

wioskach i zbierał w całej Sądeczczyźnie pieśni i podania ludowe.

W tym czasie musiała przypaść śmierć jego ojca, bo ze skromnym kapitalikiem osiągniętym ze sprzedaży kamieniczki ojcowskiej, podążył do Lwowa, aby słuchać wykładów uniwersyteckich. Niedługo jednak ich słuchał, bo w r. 1834 czy 1835 wciągnął się do jakiegoś tajnego politycznego związku, zagmatwał się w jakieś roboty polityczne, co odpokutował paroletniem więzieniem. Pierwsze jego prace literackie drukowane były w roku 1834 po niemiecku, snać jeszcze krew ojca odzywała się o swoje prawa. Były to tłomaczenia z języków południowo-słowiańskich (Illirische Romanze, Königssohn Marko itd.), które widocznie studyował. Pojawiły się one w *Mnemosyne*, piśmie niemieckiem, wydawanem we Lwowie przez prof. Aleksandra Zawadzkiego, botanika. Wkrótce w r. 1835 drukował swoje „Wycinki z podróży po Galicyi“ w „*Rozmaitościach Lwowskich*“. Później spotykamy artykuł jego o Melsztynie w „*Lwowianinie*“ (1837), a dalej tłomaczenia powieści francuskich (Małe nieszczęście, Hussein-Pasza w Neapolu) w „*Dzienniku mód paryzkich*“, który pod firmą krawca Kulczyckiego, był pismem ściśle literackiem i, jak powiada Estreicher, „był zbawczem zjawiskiem w Galicyi, bo z pod lekkiej formy przemawiał tak czystym, niezepsutym językiem, jakiego nie było dotąd w dziełach tamże drukowanych“.

Pierwszemi, osobno wydanemi dziełami Żegoty Paulego były: „Pieśni ludu polskiego w Galicyi“ i „Pieśni ludu ruskiego w Galicyi“. Tych ostatnich, jak twierdzą rusini, sam Pauli nie zbierał, ale miał korzystać ze zbiorów rękopiśmiennych duchowieństwa ruskiego. Wkrótce potem przystąpił Pauli do wydawnictwa „Starożytności galicyjskich“, ale wydawnictwo to przerwał z braku poparcia. Pisywał też do wychodzącego w Lesznie „*Przyjaciela Ludu*“ (Klasztor Bazylianów i zamek Herburtów w Dobromilu. Ruiny Melsztyna). Jednocześnie pracował jako urzędnik w Ossolineum, zkąd jednak usunięto go dla Przyłęckiego.

Wtedy, zdaje się, opuścił Lwów i udał się do Krakowa, gdzie zaczął uczęszczać na wydział lekarski; choć egzaminów nie składał, olbrzymia jego pamięć sprawiała, że do ostatnich chwil życia zadziwiał wiadomościami z zakresu medycyny. Zwrócono na niego uwagę Adama Potockiego, który go zrobił swym sekretarzem i bibliotekarzem i wziął go ze sobą w podróż za granicę. Zwiedził więc Pauli Niemcy, Czechy, Francyą i północne Włochy. Powróciwszy do kraju, dalej prowadził swą pracę zbieracza, oddawszy się całkiem historyi, archeologii, dziejom literatury i bibliografii. Szperał po rękopisach i książkach, gromadził stosy notat i wypisów. Wydał: „Pamiętniki do życia i sprawy Samuela i Krzysztofa Zborowskich.“ „Żywoty hetmanów“ (z materyałów po S. Brodowskim), „Pamiętniki o wyprawie chocimskiej“ Jana Potockiego, „Podróż do Turcyi i Egiptu“, „Pamiętniki Łosia“, „Poezye“ Gawińskiego, hetmana Rzewuskiego. itp.

Sława jego, jako erudyty, rosła coraz więcej, a nietylko u nas, ale i w Niemczech i w Czechach, gdzie uczeni dobrze znali i znają nazwisko Żegoty Paulego, bo nietylko z prac jego korzystali, ale często w sprawach naukowych udawali się do niego o radę i pomoc. Nazywano go i słusznie ostatnim polihistorem.

Kiedy Turowski rozpoczął swoje wydawnictwo „Biblioteki Polskiej“, największą prawie pomoc uzyskał od Paulego. Przygotowywał on znaczną część materyału do druku (Herbarz Paprockiego, „Ziemianina“ Orzechowskiego, „Dworzanina“ Górnickiego itd.), dostarczał mu życiorysów wydawanych pisarzy i spisów bibliograficznych. Erudycya i wiedza Paulego były powodem, iż Aleksander Przeździecki powierzył mu pracę naukową przy wydawnictwie „Dziejów“ Długoszowych. On przygotowywał dla wydawnictwa poprawny tekst łaciński, skolacyonowany z przechowanemi po księgozbiorach rękopisami Dziejów.

Później uniwersytet krakowski powierzył mu wydanie „Kodeksu uniwersytetu“, który też wyszedł w 4-ch tomach pt. „*Codex diplomaticus Universitatis Studii generalis Cracoviensis*“. Kto ma pojęcie o tego rodzaju pracy i umie poznać się, z jaką wiedzą i sumiennością wykonaną została, ten wie, że gdyby Pauli nic więcej dla nauki nie uczynił, prócz wydania tego kodeksu, już powinien być zapisany w dziejach naszej nauki, jako jeden z najwięcej zasłużonych i najwięcej poważanych jej pracowników. I w „*Album studiosorum*“ uniwersytetu jagiellońskiego znajduje się część pracy Paulego.

Z pobieżnego przeglądu jego naukowej działalności widzimy, że nie był to umysł twórczy, ale pełen głębokiej wiedzy zbieracz i wydawca. Choć można go słusznie nawet nazwać dyletantem, bo, jako samouk nie przechodził studyów systematycznych, ale ten dyletant posiadał niezwykłą łatwość przyswajania sobie nowych kierunków badania i ani nad krok w tyle nie pozostawał, czem budził podziw uczonych, zaprawionych na studyach ostatniej mody i metody. Pozostawił też po sobie plon wielki, ale plon ten przy jego zamiłowaniu do pracy byłby jeszcze dwa razy większy, gdyby żył w szczęśliwszych stosunkach materyalnych.

Bo, że się nie wiodło w życiu Paulemu, to nie ulega wątpliwości. Inni, z dziesięć razy mniejszym kapitałem nauki i pracy, pozajmowali wysokie i poważne stanowiska, a on zawsze siedział na szarym końcu. Dlaczego opuścił miejsce sekretarza i bibliotekarza Potockich, nie wiem dokładnie, bo nikt tego dobrze nie pamięta, a on sam szczegółów ze swego życia nigdy nikomu nie udzielał. Jedni mówią, że nie umiał się poddać formom towarzyskim, drudzy, że wygadał się naiwnie z czemś, co w ówczesnych czasach należało ukrywać i ztąd naraził u rządu swego chlebodawcę. Później siedział pewien czas „na bruku“, starał się o posadę praktykanta przy Bibliotece Jagiellońskiej (w r. 1853 za Muczkowskiego), ale jej nie otrzymał. Żył więc z robienia korekt, spędzając całe godziny u antykwarzów, od których nabywał rzadsze broszury. Dopiero kiedy w r. 1870 zachorował nieuleczalnie Franciszek Matejko, dał mu po nim Estreicher posadę „prowizorycznego amanuenta Biblioteki c. k. uniwersytetu krakowskiego“ z pensyą roczną 600 złr. To był szczyt stanowiska, na jaki się wyniósł, i na tym szczycie „prowizoryczno-sześciuset-reńskowym“ do końca życia pozostał. A prawda! miał jeszcze tytuł i urząd historyografa uniwersytetu. Urząd ten powołał do życia jeszcze w r. 1622 Sebastyan Petrycy, głośny

---

W handlu „pod Fujarą“ było gwarnie i wesoło. Wszystkie twarze promieniały z radości, bo zwycięstwo otrzymane przed paru godzinami było wielkie, przechodzące najśmielsze nadzieje. Do godziny 9-tej, to jest do chwili przyjścia naszego bohatera wypito już 212 koniaków, 348 innych wódek i koło 400 kufli pilznera. Obywatele całowali się, ściskali, co chwila słychać było: górą nasza! wytniemy szelmów do nogi — skończyło się wasze panowanie! — Józek, cztery piwa! — a tośmy im... zerżnęli! — Pięć koniaków dawaj chłopie! — My wam pokażemy, co obywatel znaczy! Niech kosztuje co chce, daj dwa sznapsy! — Psiokrew bestyje stończyki, bodaj was choroba! — Zdrowie pana rydaktora; ale z pełnego, z pełnego, bo ja nie herbu Doliwa! — Oleś przynieś trzy świeżutkie i moskala!

Panu Antoniemu przyszła chętka do ucieczki. On, obywatel spokojny, wstrzemięźliwy, kładący się o 10-tej do łóżka, miał tu w tej kompanii kilka godzin przesiedzieć? A to gotowa choroba! Dym z cygar, wyziewy z wódki, gorąco jak w parówce, hałas, krzyk, wrzawa, wszystko to go oszołomiło, przestraszyło. Zrozumiał dopiero teraz jak cierniowa droga prowadzi do upragnionego nieba. Była chwila, w której chciał dać za wygranę, ale szczęściem jego anioł stróż, pan Filip, umiał wlać otuchę do serca i powstrzymać go od rozpaczliwego kroku.

Przeszli do trzeciego pokoju i z trudem znaleźli miejsce przy stoliku, zajętem już przez czterech wesoło rozmawiających jegomościów. Pan Filip znał każdego: i pana mecenasa dobrodzieja (nawiasem mówiąc koncypienta adwokackiego bez drugiego państwowego egzaminu) i pana prezesa (nabył tę godność przy dużym stole „pod Fujarą“) i pana redaktora (pisze za darmo korespondencye do Trąby Tarnopolskiej) i pana dyrektora (był czas niejaki reprezentantem Towarzystwa eksportu obrzynków od cygar do Hamburga). Przywitawszy się ze wszystkiemi, przedstawił im swego przyjaciela, kładąc szczególny nacisk na wyrazy „właściciel dwóch realności“ i dodając ze znaczącym uśmiechem: „nasz całem sercem i duszą“! Rekomendacya była krótka, ale zrobiła wrażenie. Przy dwóch kamienicach to już i nazwisko niepotrzebne. Pan redaktor przypomniał sobie, że widział pana Antoniego przy urnie.

Rozmowa naturalnie rozpoczęła się na temat wyborów. Pan Antoni dowiedział się wkrótce, że znany z prawości doktór A. dotychczasowy radca miejski, jest kieszonkowym złodziejem, że B. również radca, chciał miasto sprzedać żydom, że radca C. dlatego jedynie nie siedzi w kryminale, ponieważ siostra jego służyła u ministra za mamkę, że radca D. utrzymywany jest przez stańczyków z kasy Towarzystwa św. Wincentego a Paulo, że radca E. zadusił przed dwudziestu laty siostrę swojej żony, aby otrzymać po niej spadek, że radca F. był szpiegiem za czasów wolnego miasta itd. itd. Najwięcej dowodzili redaktor i mecenas.

Rozmowy przy „suchej gębie“ prowadzić nie można. Pan Antoni ciesząc się z miłych znajomości zaproponował po sześciu kuflach butelczynę węgierskiego; po pierwszej poszła druga, po drugiej trzecia. Nowi znajomi i pan Filip wciągali w siebie jak but dziurawy, tylko zacny fundator ostrzeżony przedtem przez przyjaciela, ile razy nie patrzyli współbiesiadnicy, wylewał pod stół krople węgrzyna. „Pan mecenas“ kazał przynieść sera, „pan prezes“ albertynek i bakalij, „pan dyrektor“ kilka moskali, bo to wytrawia, a „pan redaktor“ zafundował koniaku „tego lepszego“.

Tymczasem goście zaczęli się przerzedzać, wielki stół został wolny. „Przesiądźmy się“ zawołał pan Filip i propozycyę w czyn zamieniono. Przyszło paru nowych gości, zaproszono ich do stołu, potem znowu paru się przyłączyło, a że to wczesna jeszcze pora, bo dopiero w pół do pierwszej, pan Filip kazał dać „szampitra“. Boski trunek szumiał w kieliszkach, unosząc kawałki lodu i znikając w szerokich gardłach biesiadników.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

lekarz i filozof, tłomacz Arystotelesa, i uposażył go stosownym funduszem, zastrzegając prawo nominacyi historiografa biskupom krakowskim. Ale z biegiem lat fundusz znikł, a pozostał czczy tytuł, którym obdarzono Paulego.

Co prawda, swym niepowodzeniom życiowym, swemu niedostatkowi i biedzie sam był winien w znacznej części. Już to „do rany przykładać" go nie można było. Nie ubliża to bynajmniej jego charakterowi, owszem, stanowi dla niego pochwałę, bo wszelkich weredyków, ludzi niezależnego zdania, nie umiejących udawać czułości i zachwytu, a do takich należał Pauli, nigdy się nie używało jako maści na rany. Kiedy starał się o posadę praktykanta przy Bibliotece i pracował w niej „na próbę", wciąż ścierał się z równie szorstkim Muczkowskim, pomimo, że od tego ostatniego zależało jego przyjęcie. Zgryźliwy, często opryskliwy, tytułom i stanowiskom nie schlebiał, o łaskę nikogo nie prosił. Zadawalniał się izdebką swą w klasztorze OO. Bonifratrów na Kazimierzu, w której przechowywał skarby swych notat i zbiorów.

A był co do tych skarbów prawdziwym skąpcem. Nikomu ich się tykać nie pozwolił, nikogo prawie do siebie nie puszczał. Kiedy Maurycy Dzieduszycki zbierał materyały do historyi Spiża, wspomniał Pauli, że Spiż ma prawie „gotowy", że w dawnych latach zeszedł go w szerz i wzdłuż spisując historyę każdej wsi, notując każdy napis nagrobkowy. Dowiedział się o tem Dzieduszycki i dalejże do Paulego, aby mu użyczył swych materyałów. „I owszem, przyniosę je panu jutro do biblioteki" odpowiedział proszony. Przyszło jutro, zgłasza się Dzieduszycki, „zapomniałem, mówi Pauli, przyniosę panu jutro." I to „jutro" trwało tydzień cały, aż zniecierpliwiony Dzieduszycki wybrał się do pomieszkania Paulego. Przypadkowo drzwi były otwarte, wchodzi. Kiedy go ujrzał Pauli odwrócił się tyłem i zawołał głośno: „ja nikogo u siebie nie przyjmuję."

Znając swą sławę „encyklopedyi chodzącej", lubił wprawdzie Pauli kiedy się do niego udawano, ale często miał niewymowną przyjemność przekomarzać się, zawodzić proszących. To, co się stało Dzieduszyckiemu, stało się i wielu innym. Żył np. w Krakowie Zarewicz, autor kilku rozpraw historyczno-heraldycznych i archeologicznych, który między innemi zbierał przez długi czas materyały do historyi Melsztyna i Melsztyńskich. „Nie miałby pan czego dla mnie? pytał Paulego, wiedząc, że ten o Melsztynie niegdyś pisał. „Oho! mam i sporo". Ale tego co miał, Zarewiczowi nie dawał. „Będzie czas na to, mówił, jak pan wydasz swoją monografię." I Zarewicz bał się ją wydać, bo nuż wyda, a Pauli śmiać się będzie, wykazując mu niedokładności. Profesor Łuszczkiewicz znowu po długich poszukiwaniach doszedł, że budowniczym słynnej kaplicy zygmuntowskiej był Berecci. Ucieszony odkryciem zwierza się z tem Paulemu. „Też mi pan nowość mówisz, odzywa się na to Pauli, toż ja nawet jego testament posiadam." I rzeczywiście posiadał.

W połączeniu z tą dziwną zazdrością była i chętka do przechwałek, tak, że prawie nigdy nie było można wiedzieć, czy Pauli rzeczywiście posiada pewne materyały, czy tylko mówieniem o nich dręczy chciwego je przejrzeć. Było to tylko dziwactwo, bo trudno z drugiej strony o więcej skromnego od niego człowieka. A i w tej skromności lubił ludziom płatać figle. Zmarły nie tak dawno we Lwowie inżynier, Julian Kołaczkowski, posiadał znakomity zbiór autografów. Prosił więc Paulego, aby mu dał do niego kilka wierszy ze swoim podpisem. Prośba ta była grochem na ścianę. Kołaczkowski jednak nie chciał ustąpić z placu i po pewnym, a znacznym przeciągu czasu napisał list do Paulego, prosząc go o wyjaśnienie jakiejś kwestyi naukowej „Aha! tędy go wiedli", pomyślał Pauli i odpowiedział Kołaczkowskiemu listownie, ale nie położył na liście swego podpisu. I kontent był starowina przez parę tygodni, że mu się tak udało „wystrychnąć" Kołaczkowskiego.

Pomimo wszelkich dziwactw, pomimo, że niejednego obraził lub uraził, był Pauli bardzo lubiany przez wszystkich, co go bliżej znali. Czysty, uczciwy, umiał być nawet przyjacielem, a nie szukał przyjaciół daleko, chciał tylko takich, z którymi by mógł pogadać o swych ulubionych przedmiotach, lub w których miałby towarzyszy do pieszych wycieczek w okolice Krakowa.

Szczególnem zaufaniem obdarzał uczonego kustosza biblioteki Jagiellońskiej, dra Władysława Wisłockiego i ks. Ignacego Polkowskiego. Ci dwaj też powzięli w r. 1887 myśl wyprawienia mu jubileuszu, jako w pięćdziesiątą rocznicę wydania jego „Pieśni ludu polskiego". Ale jak tu urządzić jubileusz? Mówić mu o nim ani sposób, bo nie przyjmie. Zaprosić go do jakiejś sali, do jakiejś restauracyi, także nie można, bo jak wejdzie i zrozumie, na co się zanosi, to wyrwie się przemocą i ucieknie. A więc ks. Polkowski postanowił urządzić jubileusz we własnem mieszkaniu. Zaproszony na herbatę, Pauli przyszedł, niczego się nie domyślając. Wchodzą goście, jeden drugi, dziesiąty, Paulego to nie dziwi, bo ks. Polkowski urządzał od czasu do czasu u siebie większe przyjęcia. Nareszcie dają kolacyę, siada Pauli z innymi do stołu. Po chwili podnosi się ks. Polkowski i po kilku słowach ogólnych o potrzebie uczczenia ludzi pracy i nauki, rozpoczyna krótki życiorys Paulego słowy: „Żegota Pauli urodził się...." Wtedy nareszcie zrozumiał Pauli, o co chodzi, zerwał się i zaczął wołać zirytowany: „Kto się urodził? ja się nie urodził, nikt nie wie, kiedym ja się urodził, co komu do tego? i potrzeba było długiej chwili, zanim się uspokoił i zgodził się być dnia tego solenizantem. Nawiasem mówiąc, nie mógł pojąć, zkąd dowiedziano się o dacie jego urodzenia, z którą się krył i taił, zapominając, iż w Nowym Sączu znajdują się księgi metryczne, z których też wydostano datę jego urodzenia.

Jeszcze na tydzień przed śmiercią zdawało mu się, że jest zdrów zupełnie, tylko ogromna żółtość na twarzy świadczyła, że choroba nim owładnęła. Położył się do łóżka w poniedziałek 14 października, a kiedy go nazajutrz odwiedził dr. Wisłocki, zaręczał, że mu nic nie jest, tylko „pedały nie chcą słuchać." W sześć dni później

---

AXEL STEENBUCH.

MIŁOŚĆ.*)

Przekład
Zygmunta Bytkowskiego.

OSOBY: **Nieszczęśliwy. — Szczęśliwy.**

Akt I.

(Późny wieczór. Czarne chmury. Nie widać korony drzew, słychać jeno, jakoby szum fal wzburzonych, gdy wiatr konarami zakołysze. Dołem, przy ziemi szepty i szmery i szelesty w zaroślach, powietrzem poruszanych. Dwoje oświetlonych okien błyska — niby oczy w czarną noc zapatrzone. Domu czarnego nie widać. Szmer ostrożnie otwieranych drzwi. Przez otwór powstały ztąd, żadne nie dobywa się światło. Nieco później odgłos tajemnych kroków po żwirze. Potem jęk wiatru. W dzikim skoku wypada ktoś z gąszczy. S z c z ę ś l i w y dopada go i chwyta obiema rękami. Palce jego wpijają się nieledwie w ciało).

SZCZĘŚLIWY. Ktoś ty? Nie chcesz twego imienia powiedzieć, ty? Ale ja je mieć muszę. Ja je z ciebie wytrzęsę jako owoce z drzewa. — Złodzieju! Łotrze! Imię, powiadam? — Nie chcesz? — I nie usiłujesz nawet uwolnić się — ni głosu nie wydałeś — tedy cię zdławię nie wiedząc kim jesteś! Złodzieju! Puszczyku! *(Puszcza go i mówi z cicha)* Znam jednego tylko, któryby taki spokój zachowywał, gdyby go się za gardło chwytało. — Tedy to tyś jest!

NIESZCZĘŚLIWY. Wiedziałeś przecież natychmiast.

SZCZĘŚLIWY. Od lat pięciu wiedziałem, iż gdy kto w noc ciemną około domu węszył i w krzakach się ukrywał, tyś nim był z pewnością. Sprawiłem się jednak gracko. Nieprawdaż? Dopadłem cię, ty!

NIESZCZĘŚLIWY. Widziałem cię przez cały czas. Białą twą twarz, którąś tam w ciemnym pokoju do szyby przycisnął, — małe drzwi boczne, któreś otworzył i przez któreś się wykradł.

SZCZĘŚLIWY. I nie uciekłeś?

NIESZCZĘŚLIWY. Nie.

SZCZĘŚLIWY. Jesteś, zdaje się bardzo odważny.

NIESZCZĘŚLIWY. Nigdym lęku nie znał.

SZCZĘŚLIWY. Mogłem cię zdusić.

NIESZCZĘŚLIWY. Jednak nie uczyniłeś tego. Czy pomówimy ze sobą, czy się rozejdziemy?

SZCZĘŚLIWY. Chcesz może iść na górę, do światła, gdzie przypatrzylibyśmy się twarzom naszym.

NIESZCZĘŚLIWY. Jak chcesz.

SZCZĘŚLIWY. Ja — ja — twojej widzieć nie chcę.

NIESZCZĘŚLIWY. Jak chcesz.

SZCZĘŚLIWY. Pójdźmy nieco dalej od domu! Tam na samym końcu ogrodu stoi ławka. Uważaj na każdy krok. Będę cię prowadził. Ja tu znam kąt każdy.

NIESZCZĘŚLIWY. I ja również.

SZCZĘŚLIWY. A więc nie pierwszy raz! — Jakże dawno?

NIESZCZĘŚLIWY. Od tygodnia dopiero. — Teraz omal się nie potknąłeś.

SZCZĘŚLIWY. Nie można prawie ścieżki od trawnika odróżnić.

NIESZCZĘŚLIWY. Mój wzrok przyzwyczaił się do ciemności. Ja widzę, że trawnik jest zielony.

SZCZĘŚLIWY *(podczas gdy idą)*. To tutaj jest grządka różami zasadzona.

NIESZCZĘŚLIWY. Poznaję zapach.

SZCZĘŚLIWY. A tu goździki.

NIESZCZĘŚLIWY. Uszczknąłem jeden, — gdy się rozjaśniło, spostrzegłem, iż był czerwony.

SZCZĘŚLIWY. W tej stronie akacya.

NIESZCZĘŚLIWY. Wiem. Pociągnąłem pewnej nocy ręką po liściach i poznałem kształt.

SZCZĘŚLIWY. Milcz! Bądź cicho!

NIESZCZĘŚLIWY. Gdy róg ten miniemy, będziemy u ławki.

*) W miesiącu lutym b. r. zamieściliśmy symboliczny utwór Maeterlincka p. t. „W głębi". Dziś podajemy drugą próbkę tego samego kierunku, cieszącą się wielkim rozgłosem i tłomaczoną już na kilka języków. Przyp. Red.

(20-go) pożegnał się ze światem, sporządziwszy przedtem testament, mocą którego wszystkie jego rękopisy i notaty przeszły na własność dra Wisłockiego, a kwota zebrana ze sprzedania cennego księgozbioru, ma być wcieloną do funduszu przebudowy szpitala OO. Bonifratrów. Dr. Wisłocki przyjął zapis, ale odstępuje go na własność Bibliotece Jagiellońskiej za sumę dostateczną do położenia tablicy pamiątkowej Paulemu w jednej ze świątyń krakowskich lub na ścianie krużganków Biblioteki.

Pogrzeb Pauli miał świetniejszy niż było jego życie. Znalazła się na nim i Akademia Umiejętności, która zapomniała o nim za życia, bo nie powołała go do grona swych członków, choć powołuje ludzi daleko mniejszej wiedzy i pracy, choć, jak się wyraził w telegramie Zakład narodowy imienia Ossolińskich (Małecki, Kętrzyński itd.) Pauli „dla zasług i wydatnej pracy zasłużył sobie na cześć u całego społeczeństwa."

K. Bartoszewicz.

Bunt przeciw Berlinowi.

Dużo krwi napsuła literatom i artystom niemieckim broszurka w czerwonej okładce, figurująca od paru tygodni w oknach wystawowych księgarń berlińskich. Czerwona barwa tej broszurki, zatytułowanej „Das Berlinertum in Litteratur, Musik und Kunst", ma być symbolem rewolucyi; kryjący nazwisko swe pod przyłbicą pseudonimu autor podżega prowincyę do powstania przeciwko Berlinowi. Muzy, zdaniem autora, są niezadowolone z hegemonii Berlina na polu literatury i sztuki i błagają prowincyę o odebranie batuty nowoczesnemu Babilonowi.

Broszurka jest gorzką pigułką dla Berlina, pomimo, iż autor, nie mogący się poszczycić ciętem piórem, celuje niezawsze trafnie; prawda jednak przez niebardzo miodopłynne usta malkontenta prowincyonalisty mówi sama za siebie. Paryż był i pozostał dotychczas sercem Francyi; z miasta tego soki ożywcze rozchodzą się po całym organizmie Francyi. Pulsowania prowincyi wtórują serdecznemu tętnieniu stolicy nadsekwańskiej. Trony francuskie zapadły w nicość; Paryż w swym majestacie króluje nadal nad Francyą; pod jego egidą kwitnie literatura i sztuka. Czyż to samo prawo supremacyi należy się i Berlinowi? Niegdyś liczne dwory niemieckie ściągały ku sobie poetów i artystów; za czasów wybujałego separatyzmu państwowego śpiewali romantycy. Czy stolica zjednoczonych Niemiec stoi na wysokości zadania przekazanego jej przez zdetronizowane dwory? Na pytanie to autor bez długiego namysłu daje odpowiedź przeczącą, nie bacząc na to, iż zagłuszą ją syk i wrzask podrażnionej w swej ambicyi berlińskiej prasy. Berlin jest przedstawicielem potęgi niemieckiej; wszystkie zdobycze materyalnej kultury występują na jaw w Berlinie. Lecz „noli tangere circulos meos" lub raczej „musas meas", woła autor do stolicy Hohenzollernów. Berlin w żaden sposób nie powinien sobie rościć pretensyi do reprezentowania ducha niemieckiego. Jako parweniusz, dorobkiewicz, chce blaskiem reklamy zatuszować ubóstwo ducha swego. Nadrabianiem wielkopańskiej miny i blagą chce wprowadzić w błąd naiwną prowincyę i wmówić w nią wiarę w jego posłannictwo. A jednak jest on przykrojonym na miarę krawca a nie Fidyasza. Do przewodniczenia na polu literatury i sztuki brak mu rzeczy podstawowej — zapału. Jest jedna cecha, która zasadniczo odróżnia mieszkańca Berlina od prowincyonalisty — daltonizm uczucia. Te same ustępy utworów dramatycznych, które w innych miastach, w Wiedniu np. wyciskały łzy publiczności, na deskach teatrów berlińskich wywołują uśmiech. Brutalny cynik, który nad bólami i radościami ludzkiego „ja" dawno przeszedł do porządku dziennego, nie jest w stanie poddać się jakimkolwiek szlachetnym wzruszeniom; nie zaszkli się jego źrenica łzą, gdy szamocze się w pętach konfliktów dusza ludzka; nie zadrgnie mu serce przy widoku jaźni, mdlejącej w bólu moralnym. Albowiem ból moralny i wszelkiego rodzaju sentymenty, są dla niego drobnostką.

Romantycy i klasycy przestali zażywać miru i szacunku w Berlinie. Zachwycać się Szyllerem jest rzeczą niegodną wolnego od „przesądów", trzeźwo patrzącego na świat, zrównoważonego i nieznającego wstrząśnień i porywów berlińczyka. Ideałów mu nie potrzeba, gdyż ani ich rozumie, ani odczuwa ani czci. Trzeba mu natomiast wszędzie rodzinnej atmosfery berlińskiej, gdzie ludzie są na handlowo-urzędowej stopie, gdzie formy zastępują treść i uczucie a nerwy kąpią się w niewysychającem źródle hałasu i awantur. Wygodnie mu w tej atmosferze, pełnej wyziewów egoizmu i występku. Giełda i pieniądz nadają ton a na polu literatury i sztuki „to nagłym, to wolnym ruchem kręcą gwiazdy swoim duchem". Jestto Olimp „Uebermenschów", których życie jest „jenseits von Gutem und Bösen". Kierunek literacki ,,Moderne" jest specyfikiem Berlina. W lustrze tem ogląda on samego siebie. Zresztą, ktokolwiek bierze szturmem twierdzę powodzenia w Berlinie, musi uderzać w nią działami pierwszego kalibru — frazesem, blagą, efektami i sensacyjnością. Działa te muszą być wykończone z całą doskonałością berlińskiej techniki. Nie zaszkodzi jednak pamiętać, iż bądź co bądź teatry dramatyczne świecą pustkami, podczas gdy przybytkom farsy i wodewilu wiedzie się nie najgorzej a najlepsze interesy robią tingltagle, gdy się nazwą jakimś „à la" i częstują publiczność produkcyą paryzką. Ten sam filister, który jest za leniwy by uczcić oklaskami artystę dramatycznego, wyje i tupie, gdy usłyszy tłustą piosenkę z bruku paryzkiego. Jeżeli Sudermann zdołał przez niejakiś czas utrzymać się na scenie i być w łaskach u publiczności, to zawdzięcza to specyficznie berlińskiemu charakterowi swych sztuk. Rozumie się, że paradoksy aktora były wielce na rękę trzeźwemu berlińczykowi. Zamiast „Ich habe die Ehre mich Ihnen zu empfehlen", powtarzał za hr. Trastem z „Honoru" „Ich habe das gemeine Vergnügen". Jestto „echt berlinisch". Zacny bankier, którego słowa wieńczą sztukę („Alež hrabio, dlaczegoś mi od razu tego nie powiedział?") jest żywcem pochwycony z gro-

---

SZCZĘŚLIWY. Milcz! Milczże! — (*siada*) Tutaj jesteśmy w ukryciu i ciemności.

NIESZCZĘŚLIWY. Tak, tutaj jesteś pewny — tu twarzy mojej widzieć nie możesz.

SZCZĘŚLIWY. Czyś osiwiał?

NIESZCZĘŚLIWY. Z tęsknoty.

SZCZĘŚLIWY. Ja jednak tym samym pozostałem.

NIESZCZĘŚLIWY. Nie! Poznałem natychmiast, że i ty osiwiałeś.

SZCZĘŚLIWY. Czy możesz i rysy me widzieć?

NIESZCZĘŚLIWY. Powiędły.

SZCZĘŚLIWY. Ja — ja — o! jam tak strasznie cierpiał.

NIESZCZĘŚLIWY. Mamy tedy ze sobą mówić. Czy się do początku wrócimy? Do dnia letniego, w którym przechadzaliśmy się po alei tam i nazad. Ty dwudziestoczteroletni, ja dwudziestotrzechletni młodzian, dobrzy przyjaciele, zawsze razem, od dni naszego dzieciństwa. Żaden nie chciał jej odstąpić — jej jej! Jam był pierwszym! jam się przed tobą ze snami memi zwierzył, jam ci przecież ufał wówczas we wszystkiem. Potem oczy twoje ją spostrzegły, — przedtem nie widziały jej prawie. Pomnisz, jak ci w alei powiedziałem, iż ten ją posiędzie, co ją sobie zdobyć zdoła? Chcieliśmy uczciwie ze sobą postąpić, chcieliśmy przyjaciółmi pozostać.

SZCZĘŚLIWY. To przecież nie było możebnem.

NIESZCZĘŚLIWY. Dla ciebie. Lecz — chcieliśmy walczyć — ten ją miał posięść, kto ją sobie zdobyć zdoła.

SZCZĘŚLIWY. Czyż nie zdobyłem jej sobie?

NIESZCZĘŚLIWY. Dla tego też jest twoją.

SZCZĘŚLIWY. Lecz czy się cofnąłeś?

NIESZCZĘŚLIWY. Wszakże ją sobie jeszcze zawsze zyskać mogę.

SZCZĘŚLIWY. Prześladujesz nas.

NIESZCZĘŚLIWY. Nie! trzymam się jeno blisko, czekam.

SZCZĘŚLIWY. Na co?

NIESZCZĘŚLIWY. Gdyby nie ta wiara, nie żyłbym.

SZCZĘŚLIWY. Jakże nas odnalazłeś?

NIESZCZĘŚLIWY. Chodziłem światem. Wzrok mój najwyższe przeskakiwał mury, przez najnieprzenikliwsze zaglądał gąszcze, po miejscach samotnych, tam cię szukałem.

SZCZĘŚLIWY. Tedyś przez całe te pięć lat szedł śladem naszym?

NIESZCZĘŚLIWY. Od onego wieczoru. W pierwszych dwu latach po owej chwili, w której twoją się stała, tak rzadko mię spotykałeś, jak rzadko się bławat na ławicy nadmorskiej spotyka. Lecz mój wzrok cię strzegł, uwagi mej nic nie uszło. A potem powiedziałem ci... — wszak pomnisz jeszcze? tego samego wieczoru? — Postradałeś ją znowu! nie jest już tedy twoją. Następnego poranku uszliście, jam myślał o drżeniu twojem. Ty drżałeś, gdym do ciebie mówił.

SZCZĘŚLIWY. Wszakżem ją sobie zdobył! Wszakżem ją sobie zdobył!

NIESZCZĘŚLIWY. W chwili upojenia. Minęło wszystko, gdy oczy przejrzały.

SZCZĘŚLIWY. Silną masz wiarę.

NIESZCZĘŚLIWY. Gdyby nie ona, nie żyłbym.

SZCZĘŚLIWY, Nie wspomniała nigdy twego imienia.

NIESZCZĘŚLIWY. A jednak w myśli jej zawsze mieszkam.

SZCZĘŚLIWY. Wierzysz w to?

NIESZCZĘŚLIWY. Ty także! Gdyby tak nie było, nie lękałbyś się mnie! Nigdzie nie znajdujesz pokoju..., gdy na cię spojrzy, z oczu jej mój obraz ci błyska... gdy do ciebie mówi, mego głosu oddźwięk jeno słyszysz.

SZCZĘŚLIWY. Widziałeś ją?

NIESZCZĘŚLIWY. W myśli.

SZCZĘŚLIWY. Jest zawsze taką, jaką była.

NIESZCZĘŚLIWY. Tak, zawsze. Dla mnie zawsze nią będzie. Lat pięć jednak o dwadzieścia ją uczyniło starszą.

SZCZĘŚLIWY. Skądże wiesz o tem?

NIESZCZĘŚLIWY. Gdybym nie widział o tem, nie kochałbym jej. Widzę wzrok jej, kiedy jej oczy przymknięte, słyszę

na bywalców Café Bauer pod Lipami. A czyż córka stolarza nie jest nieodrodną córą Berlina, ta dziewica szukająca bogatego „Verhältniss“. W leksykonie jej wyraz „cnota“ należy do archaizmów a w jej filozofii wyraz „zabawa“ jest kwintesencyą życia. A to rodzeństwo, sprzedające cnotę dziewczyny na wagę złota lub papieru, noszącego stempel banku państwa — toć to z krwi i kości berlińczycy! Dla hr. Trasta widz berliński czuje wielki szacunek, jakkolwiek nie łudzi się co do tego, jak należy rozumieć owo wymyślone przez Sudermanna wzbogacenie się na kawie brazylijskiej.

Takie cięgi dostają się Berlinowi z ręki autora broszurki, który odmawia stolicy państwa Niemieckiego zdolności i zasług i na wszelkich innych polach kultury ducha. Dowcip berliński jest, jego zdaniem, płaski. Berlińczyk nie zna, co to humor. W dziedzinie muzyki jest profanem. Żaden berlińczyk nie skomponował opery. Mascagni zaimponował Berlinowi, gdy jakiś reporter rozgłosił, iż wielki kompozytor jest szczęśliwym posiadaczem 500 jedwabnych krawatów. Berlin zupełnie słusznie przywłaszczył sobie hegemonię na polu ulicznej piosenki walców. Zresztą decyduje tu nie muzyka lecz słowa. Treść musi bezwarunkowo potrącać berlińskie życie. Po dzień dzisiejszy wygrywają katarynki całych Niemiec, wywiezione z Berlina „Im Grunnewald, im Grunnewald ist Holzauktion“. Pieśni ludowe zostają wyrugowane przez berlińskiego walca. Stare sentymentalne rzeczy w rodzaju Heinowskiej „Ich weiss nicht was soll es bedeuten“ idą w zapomnienie lub szukają schronienia w odległych zakątkach państwa.

Uliczny gamoń jest sędzią konkursowym, gdy idzie o oddanie palmy pierwszeństwa temu lub innemu walcowi. Kompozytor, który trafi mu do przekonania, stanie na poziomie jego sztuki gwizdania, zarobi krocie!... Berlińskie gazety roznoszą żargon berliński po całej prowincyi, zarażając język niemiecki dziwolągami barbarzyńskiemi. Tu autor jeszcze raz uderza na alarm i zachęca do walki przeciw żywiołowi berlińskiemu.

F.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Obrazki lwowskie.

III.

(Obchód żałobnej rocznicy.)

Lwów który w porównaniu z Krakowem pomawiano niekiedy o brak patryotyzmu, zaznaczył przecież w rocznicę ostatniego rozbioru Polski (24-go z. m.), że wszystkie warstwy jego ludności, od inteligencyi aż do nizin społecznych, wstrząsnęło bolesne wspomnienie rozdartej i mocującej się ze śmiercią ojczyzny. Świątynie różnych wyznań, w których zrana odbywały się nabożeństwa, przepełnione były, na ratuszu powiewała czarna chorągiew, publiczne zgromadzenia w sali ratuszowej i w lokalu robotniczego Towarzystwa „Gwiazda“ przyciągnęły setki osób, dzienniki niektóre ukazały się z czarną obwódką, a nastrój całodzienny wskazywał, że obchodzimy jakąś wielką żałobną rocznicę.

Czy mogło być inaczej? zapyta czytelnik, — czy wobec rocznicy wypadku, który przekształcił postać Europy, zakończywszy brutalnie polityczną działalność kilkunastumilionowego narodu, mogą obojętnie zachowywać się synowie tych, na których ciałach i duszach dokonano wiwisekcyi? Oczywiście nie, chociaż wobec różnobarwnego pod względem narodowościowym składu miasta, przewagę polskiego elementu i polskiej idei zawsze z radością konstatować należy. Nie zapominajmy bowiem, że Lwów to stolica Rusi Halickiej, że z mieszkańców Rusi tylko dwa miliony rusinów do Galicyi należy, a pozostała wielomilionowa rzesza znajduje się w granicach rosyjskiego państwa pod bezpośrednim wpływem Moskwy. Palącem przeto zagadnieniem dla nas Polaków jest, co przeważy wśród Rusinów, czy dążność narodowościowa, której rozwój i powodzenie możliwem jest jedynie pod liberalniejszemi rządami Austryi, czy też moskalofilskie tendencye, które w Galicyi dziś bankrutują (stronnictwo moskalofilskie nie przeprowadziło podczas ostatnich wyborów ani jednego posła do sejmu). Pamiętać również należy, jak licznym jest żywioł żydowski we Lwowie, ile on w swym ręku posiada kapitałów i jak silne wśród niego separatystyczne dążności. Chwila przecież była zbyt poważną i uroczystą, aby owe tu i owdzie wybuchające antipolskie tendencye w jakikolwiek sposób zabarwić ją miały.

Otóż uroczystość w ratuszu, oprócz licznej publiczności zgromadziła i oficyalnych, że tak rzeknę, przedstawicieli idei polskiej, a więc reprezentowanym był uniwersytet w osobie rektora Balzera, politechnika przez rektora Pawlewskiego, zjawili się też posłowie miasta Lwowa z wyjątkiem dr. Smolki. Nie było przecież arystokracyi, ani biskupa Morawskiego, – za to nie brakło arcybiskupa Isakowicza. Przemówienie profesora Majerskiego deprymująco oddziałało na zgromadzonych.

Trudno słowom jego odmówić słuszności, kreślił on bowiem wszystkie sprężyny, które doprowadziły do upadku Polski, przedstawił moralną zgniliznę klas, które stanowiły w owe czasy właściwych przedstawicieli społeczeństwa, narzekał na bierność narodową, która dopuściła wreszcie fakt wykreślenia narodu z karty Europy. Zrozumienie interesów swoich, miała Polska, jak twierdził mówca, tylko za czasów piastowskich. Jagielloni już idei narodowej nie szanowali, a królowie obieralni, obcego pochodzenia, niezespoleni z narodem sympatyczną nicią wspólnej przeszłości, ostatecznie o niej zapomnieli. Pocieszającym przecież wydał się mówcy fakt, że losami Polski rozrządzała przed stu laty garść, a nie całość narodu, że ona to oplątać się dała podszeptom własnej samowoli i wpływom zagranicznych dworów, — milionowy naród szlachecki natomiast, narzędzie w ręku panów, stał daleko od świata, a więc i daleko od ostatecznego upadku. W najczarniejszych godzinach występowały promienne postacie jak wielki Staszyc, jak Czacki, Kołłątaj, jak

---

myśl jej, gdy milczy. Powiedz, czemu skarży się we śnie?

SZCZĘŚLIWY. Czyś słyszał?

NIESZCZĘŚLIWY. Jedno słyszałem rzeczywiście wieczorem, w nocy — poprzez zawarte okiennice – a wtenczas nie spała. Głos jej drżał a jęczał. Było to jakoby jeden wielki krzyk, na wiele małych rozdzielony. Ona jest chorą.

SZCZĘŚLIWY. To przyszło w ostatnich latach.

NIESZCZĘŚLIWY. W ostatnich pięciu latach.

SZCZĘŚLIWY. Coraz częściej i częściej. Jej ciało w kurczach się wije, z ust piana się toczy — cierpi, cierpi, ach, cierpi! Wszystkiegom próbował, wzywałem lekarzy ze wschodu i zachodu....

NIESZCZĘŚLIWY *(wstaje)*. Słuchaj! Słuchaj! oto znowu! Jak ona jęczy! Czyż jej nie możesz uwolnić? Nie możesz?

SZCZĘŚLIWY. Nie mogę.

NIESZCZĘŚLIWY. Tedy idźże, idź na górę do niej! Głaszcz, głaszcz jej lice! Całuj strwożone jej oko! Podłóż twe ramię pod umęczoną jej głowę! Dobranoc! *(odchodzi)*.

SZCZĘŚLIWY *(woła za nim.)* Idź! Precz! Potknij a zatocz się po kamieniach! Uderz o drzewo! Nienawidzę cię! Łupieżco, złodzieju ty! Czemuż cię nie zdławiłem?

* * *

Akt II.

(Ranek. Poddasze w wiejskiej gospodzie. Przez okno w dachu zagląda słońce i kładzie się na pobielonych ścianach. Łóżko z siennikiem, kulawe krzesło, prosty stół sosnowy, zresztą żadnych nie ma sprzętów. Cały zbytek stanowi książka, którą Nieszczęśliwy czyta i pół podkowy nade drzwiami. Ktoś puka.)

SZCZĘŚLIWY *(wchodząc)*. Teraz widzę, oświałeś istotnie. Zda ci się pewno, że i ja?

NIESZCZĘŚLIWY. Widziałem cię przecież niedawno w ciemności.

SZCZĘŚLIWY. Nie swojsko tu.

NIESZCZĘŚLIWY. Wiesz, żem nigdy bogatym nie był, w ostatnich czasach bogatszym się nie stałem *(wstaje)*. Weź sobie to krzesło! Ja na łóżku usiądę.

SZCZĘŚLIWY *(siada)*. Czyż się nie dziwisz odwiedzinom moim?

NIESZCZĘŚLIWY. Czekałem cię.

SZCZĘŚLIWY: Jednak nie przeczuwałeś, iż to ja pukałem.

NIESZCZĘŚLIWY. Poznałem krok twój na wschodach.

SZCZĘŚLIWY. Potknąłem się, słyszałeś?

NIESZCZĘŚLIWY. Po tem cię poznałem — powiedz, czego żądasz?

SZCZĘŚLIWY. Chciałem cię zobaczyć.

NIESZCZĘŚLIWY. To nieprawda.

SZCZĘŚLIWY. Ja... chciałem z tobą pomówić.

NIESZCZĘŚLIWY. I to nie jest prawdą.

SZCZĘŚLIWY. Cóż tedy?

NIESZCZĘŚLIWY. Ona umiera.

SZCZĘŚLIWY. Któż ci to powiedział?

NIESZCZĘŚLIWY. Jej jęk był jakoby płacz dziecięcia opuszczonego.

SZCZĘŚLIWY. Ja.... ach, tego już znieść nie mogę. W noc i w dzień, w noc i w dzień, ach, jak ona cierpi! Ach, jakże ja cierpię! ....Tedy już powiedz wreszcie! Wszakżeś tak dobrze wiesz, po com tu przyszedł? Tedy już powiedz!

NIESZCZĘŚLIWY. Sam powiedz!

SZCZĘŚLIWY. Chcesz pójść do niej?

NIESZCZĘŚLIWY. Chcesz jej dać wolność?

SZCZĘŚLIWY. Nie mogę. Czy chcesz mimo tego pójść do niej?

NIESZCZĘŚLIWY. Czy wiesz, co lekarz czyni, gdy chorego uzdrawia, któryby bez pomocy jego zginąć musiał? Obdarza człowieka życiem, stwarza człowieka. Pojmujesz ty, co to znaczy? A gdy on wie, iż to życie najstraszniejszą nędzą będzie, która człowieka tego oczekuje? Czyż nie sądzisz, iż lekarz ów wtenczas zdrady niejako na umierającym się dopuszcza?

SZCZĘŚLIWY. Nie trać chwil drogich. Czas nagli.

NIESZCZĘŚLIWY. A wieszże ty też, czego odemnie żądasz?

SZCZĘŚLIWY. Byś jeno był u niej, by jeno czuła, żeś przy niej. Tak! widzisz, co ze mnie się stało, jestem u ciebie i żebrzę, tak nisko upadłem! ni snu, ni spokoju...

wreszcie nieśmiertelny Kościuszko. A cóż dopiero mówić o zastępach ludu miejskiego i wiejskiego, który do życia narodowego zbudził się tylko chwilowo, podczas powstania Kościuszkowskiego.

Mówca zakończył przemówienie swoje wezwaniem, abyśmy przestali być biernymi, a stali się społeczeństwem czynnem w myśl niedopowiedzianych haseł konstytucyi trzeciego maja i rzadkich wprawdzie, ale promiennych gwiazd, które rozjaśniały przed stu laty ponury horyzont naszego narodowego życia.

Następnie głos zabrał p. *Romanowicz*, w którego mowie brzmiały akcenty szczerze patryotyczne. Twierdził on, że stuletniej niewoli kraju uważać nie można za śmierć, lecz za chwilowe więzienie, po za obrębem którego jest swoboda i światło. Zresztą p. R., urodzony mówca, potrafił porwać za sobą publiczność i zarówno mową swoją jak i akcesoryami silne sprawił wrażenie. Po za mówcą stało śpiewackie towarzystwo „Echo“, które końcowy okrzyk jego „jeszcze nie zginęła“ powtórzyło w donośnym hymnie „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Parę set osób, przeważnie pań i młodzieży zgromadziło się również w „Gwieździe“. Prezes Gwiazdy p. *Starkel* w gorącem przemówieniu podniósł ważniejsze momenty rozbioru Polski, kończąc wyrazem nadziei w żywotność polskiego narodu. Końcową myśl podniosła przemawiająca po nim p. *Marya Wysłouchowa*, która dowodów na poparcie twierdzenia o żywotności narodu polskiego i przewodniczących mu idei wolności, równości, niepodległości, szukała w powstaniach z bieżącego stulecia, w manifeście Towarzystwa demokratycznego i w odezwie komitetu centralnego, ogłoszonej w dniu rozpoczęcia stuwiekowego powstania.

Teatr w dniu rocznicy wystawił „Kościuszkę pod Racławicami“. Trudno powiedzieć, aby przedstawienie było zadawalniającem. Postać Kościuszki zwłaszcza wypadła w interpretacyi p. Woleńskiego bardzo słabo, a dodajmy, że i samemu Anczycowi mniej się od innych udała. Pomimo to i pomimo, że najwięcej w sztuce na uwagę zasługujące sceny zbiorowe wymagałyby znacznie liczniejszego personału od tego, jakim scena lwowska rozporządzać może, wrażenie wywierane przez utwór Anczyca jest zawsze wielkiem i publiczność za sobą porwać musi. Poeta był istotnie w jednej z najlepszych chwil swego natchnienia, gdy tworzył „Kościuszkę“, i nie domyślał się może nawet, jak potężnym środkiem agitacyjnym sztuka jego być może. W teatrze zauważyć można było dzieci, służące, rzemieślników, którym pokazać chciano w rocznicę pogromu ten moment narodowego tryumfu.

Lwów, rozpamiętując stuletnią niewolę kraju, krzepił się słowami nadziei, powtórzmy więc z nim razem: „Jeszcze nie zginęła“!

S. Z. D.

JERZY BRANDES.

—

DWÓR WIEJSKI

w Krolestwie Polskiem.

(Listy z 1894 roku.)

(Ciąg dalszy.)

Jeden z obecnych autorów dodaje: „Nie wyobrażajcie tylko sobie, moi państwo że się tem martwi. Kpi sobie ze sztuki, tak jak nasi malarze w Monachium, i zarabia pieniądze. Wiesz pan co oni robią? Oto malują nuprzykład scenę z polowania na Litwie, wśród zimowego krajobrazu. Handlarz uważa, że obraz się podoba i zamawia go w czternastu egzemplarzach do Ameryki, dostają 5000 marek za każdy i przez cały rok okrągły smarują tę samą śnieżną polankę i to same polowanie.

„Nie da się zaprzeczyć, iż istotnie tak rzeczy stoją — wtrąca pani Marya — pamiętam to doskonale z dłuższego mego w tem mieście pobytu i właśnie to mam naszym malarzom tak monachijskim jak i innym do zarzucenia“.

„O! już co panie, to nie mają chyba prawa zabierać w tych kwestyach głosu, — protestuje malarz — bo podczas gdy my cośkolwiekbądź malujemy, panie nasze zajęte są jedynie obstalowywaniem sukien u swych modniarek.“

„Właśnie — i to nam zaszczyt przynosi. Zauważ pan tylko, czy kiedykolwiek chociażby powtarza się ta sama suknia. Wy stwarzacie obrazy, dzieła, my nie mogąc tego, jesteśmy też artystkami na swój sposób według możności i stwarzamy stroje dla siebie. Nie jest to już zwykłem zajęciem, lecz poprostu kompozycyą, zwracamy całą usilność naszą na sam pomysł, kombinacyą barw i harmonią całości, a nie powtarzamy się nigdy, nawet po upływie długiego czasu.“

„Widziałeś mnie pan przed paru dniami, — zwraca się do mnie jeden z dziennikarzy, w restauracyi u Brühla na śniadaniu, z naszym redaktorem i drugim brodatym mężczyzną; czy zgadłbyś pan kto to był? Oto cenzor rosyanin, któremu jest powierzony nadzór naszego pisma, zaprosiłem go na śniadanie, bo musiałem to uczynić. — Widzisz pan, do czegośmy doszli i jak głęboko upadli! Groźny, polski lew, którego się niegdyś tak obawiano, zamienił się w pudla, co aportuje.

„Gdy pan tu byłeś poraz ostatni, — mówi młody poeta, mieliśmy jeszcze prawo trzymać w redakcyach gazety zagraniczne, jakie nam się podobało, dziś mamy tylko spis dozwolonych, a liczba ich bardzo nie wielka.

Nie wolno nam przedewszystkiem bez żadnego wyjątku trzymać pism galicyjskich, a jeszcze srożej wzbronionem jest przedrukowywanie z nich jakiegokolwiek artykułu. Jeśli wycinek z której z nich znalezionym jest w zaadresowanym do nas, rekomendowanym liście, to płacimy za to olbrzymią karę pieniężną, chociażbyśmy ani o to prosili, ani nic o wysłaniu do nas nie wiedzieli; nie wysyłający bowiem ponosi karę, lecz adresat. Gdy się zdarzy, że który z naszych korespondentów w Galicyi przez lenistwo, zamiast opisać fakt jakiś własnemi słowami, użyje wyrażeń dopiero co wyczytanych w którejkolwiek gazecie, jesteśmy najsurowiej karani za jego nieoględność i niedbalstwo. Porównują tekst tego listu z gazetą, a gdy się znajdzie podobieństwo wyrażeń, wtedy bij zabij na nas. Kara za takie *przestępstwo* wynosi ni mniej ni więcej tylko 1000 do 1500 rs. I z każdym dniem jest gorzej, możemy się nareszcie doczekać chwili, gdy nam zupełnie wzbronionem będzie pisać i drukować po polsku, tak, jak już nie wolno pisać po małorusku i mówić publicznie, lub na ulicach, po polsku, na Litwie, Wołyniu, Podolu i Ukrainie. W zakładzie głuchoniemych w Warszawie wprowadzonym został wykład jedynie w języku rosyjskim. Dziecko więc opuszczając zakład nie może się porozumieć ze swą polską rodziną. A przyjrzyj się pan naszym autorom i dziennikarzom, jak się wyczerpują w tej nużącej, bezowocnej pracy. Znasz pan dobrze naszego wybitnego Aleksandra Świętochowskiego, tego radykalistę z oczami poety, porównaj pan jego pióro z przed 7—8 laty z tem, co z pod niego teraz wychodzi, a zauważysz pan z łatwością zastój, jeśli nie cofanie się wstecz. Zle jest i cała nasza nadzieja spoczywa w przyszłej wielkiej wojnie, która tak długo czekać każe na siebie, ale do której przecież przyjść musi nareszcie.“

„Dajmy pokój wojnie, — dorzucił ktoś inny. Wiemy wszyscy, że musi ona być, ale nie nadejdzie prędzej, gdy o niej mówić będziemy. Staliśmy się narodem, który nie żyje w obecnej chwili, lecz częścią we wspomnieniach, częścią zaś i to prawie zawsze, w dalekiej przyszłości. Prawdziwym obrazem polskiego narodu jest przedstawiona w jednej z naszej powieści (Od jutra) rodzina, która z drogą przeszłością w sercu, żyje nieledwie jedynie myślą powrotu do niej, nie dbając prawie o to, co się z nią dzieje obecnie. Nie tyle wyczerpały się nasze siły i zdolności, jak powiada kolega, ile zmuszeni jesteśmy bardziej niż kiedykolwiek uciekać się do odmówień i alegoryi. Niedawno została wydaną u nas pięknie ilustrowana książka, będąca zbiorem legend o Matce Boskiej, która zwróciła na siebie ogólną uwagę. Same już odczyty na ten temat zgromadziły ogromnie wiele publiczności, a cóż w nich było szczególnego, oto to, że dawne nasze staropolskie określenie: „Virgo mater, regina Poloniae“ sprawiło, że każdy w postaci Przenajświętszej Dziewicy szukał alegoryi i czegoś, coby się naszej Polski tyczyło.

Niejednokrotnie w ten sposób uda nam się coś przeprowadzić, jakkolwiek cenzorzy wietrząc wszędzie coś podejrzanego, robią często najkomiczniejsze poprawki, jak tego dowodzi fakt z wystawioną w przeszłym roku polską operą. Słowa do jednej aryi brzmiały tak: „Kochałem matkę moją bardziej niż jakąkolwiek kobietę. Od chwili gdy mi jej zbrakło, wszystko straciło dla mnie urok na tym świecie.“ Cenzorowie utrzymywali, iż słuchacz przy słowie m a t k a będzie miał na myśli o j c z y z n ę, i żądali, by zostało zmienionem na c i o t k a... co też, ostatecznie zostało przeprowadzonem. Śpiewano więc: „Kochałem moją ciotkę bardziej“ itd

Grano tu tej zimy sztukę Sudermanna „Heimat“ ale na żądanie cenzury, tytuł jej

---

NIESZCZĘŚLIWY (*wstaje*). Tedy chodźmy! Pójdę. Ty zostajesz?

SZCZĘŚLIWY. Jedno mi tylko powiedz. Gdy u niej będziesz, co uczynisz?

NIESZCZĘŚLIWY. Lękasz się? żądasz układu? czy ma mi być dozwolonem włos jej pogładzić? zimną jej rękę w dłoni mej rozgrzać? na czole jej pocałunek złożyć?

SZCZĘŚLIWY. Nie wolno ci tego.

NIESZCZĘŚLIWY. Cóż jednak z tego, iż z tobą pójdę? Gdy u drzwi staniemy, nie odważysz się ich otworzyć.

SZCZĘŚLIWY. Nie wolno ci w oczy jej patrzeć, nie! czy słyszysz?

NIESZCZĘŚLIWY. Wszakżeż już od tygodnia z przymkniętemi leży oczyma.

SZCZĘŚLIWY. Ni w ucho jej szeptać!

NIESZCZĘŚLIWY. Gdyby przytomną była i słyszeć i rozumieć mogła, ciebie nie byłoby tutaj. Chodź! Czemuż tedy znów zwlekasz?

SZCZĘŚLIWY. Przyrzekasz mi?

NIESZCZĘŚLIWY. Pocóż ta ostrożność? Nie zabiorę ci jej — dziś nie — mogę czekać. Czyś słyszał, com ci przedtem o odpowiedzialności lekarza mówił? Pójdę przecież. Bo gdyby umarła, nigdyby już moją stać się nie mogła. Dla tego ją uzdrowię i ciebie jej oddam. Chodź więc! Wahasz się? Pozwól, iż cię ze schodów sprowadzę. Strome są.

(Dokończenie nastąpi).

odpowiadający znaczeniu „ojczyzna“ (?) zamienionym został na „Gniazdo rodzinne“.

„I temi to błahostkami zamęczają nas powoli na śmierć“ — zabrzmiało z kąta, — gdzie pod grupą palm, na szezlongu, na pół leżała panna Zofia. Wskazując przez szklanne ściany paluszkiem ku usianamu gwiazdami niebu, mówiła do siebie słowami francuzkiego poety: L'immensité! Vierge de flamme, Berce mon âme. — Félicité! Mon âme clame: L'immensité!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Uniwersytety ludowe
w Skandynawii.

Po kampanii 1870—71 z dumą twierdzili Niemcy, iż zwycięztwo swe zawdzięczają oświacie ludu — „dem Volksschullehrer“. Być może. Lecz od tej pory snać „zepsuło się coś“ w państwie niemieckiem — bo oto coraz częściej zdarzają się wypadki ilustrujące jaskrawo ciemnotę i demoralizacyę ludu wiejskiego. Rozkład i zgnilizna przenikły już w niższe warstwy społeczeństwa i w ludność wiejską — dotąd podwalinę i najzdrowszą część narodu.*) Szkoła ludowa najwidoczniej nie działa dość skutecznie, „Volksschullehrer“ nie potrafił środkami przez władzę przepisanemi uczłowieczyć swych wychowańców, wnieść w śpiące dusze pewien zasób pojęć moralnych, odpowiadających potrzebom życiowym. Ileż powinnoby się potężne państwo niemieckie w tej dziedzinie nauczyć od sąsiedniej, małej Danii, której południowe prowincye, zaokupowane w ostatniej wojnie zaborczej, stara się zniemczyć z zapałem godnym lepszej sprawy!

Uszczuplona oddarciem Szlezwiku i Holsztynu, znękana wojną i kontrybucyami wojennemi kraina, nie rozdrzemała się snem konającego. Wielkie ciosy budzą częstokroć narody z odrętwienia, dodają im nowych sił do rozpaczliwej walki o byt zagrożony, stają się ostrogą do żywej i energicznej działalności samozachowawczej na wszystkich polach życia narodowego.

Powstały szeregi ludzi dobrej woli, wzięły się do pracy i dziś zajmuje Dania pod względem oświaty ludowej pierwsze wśród narodów europejskich stanowisko, zawdzięcza zaś je w przeważnej części uniwersytetom ludowym, instytucyi równie pożytecznej jak i nieznanej w środkowej Europie. Bliższą znajomość historyi powstania, rozwoju i działalności tych zakładów naukowych zawdzięczamy odczytowi panny Maikki Friberg z Helsingfors, wygłoszonemu w Zurychu. Korzystając zeń, pragniemy w krótkim szkicu przedstawić działalność instytucyi, tak bardzo zasługującej na uwagę wszystkich tych, którym blizką jest sprawa postępu i oświaty.

Folkchojskoler czyli Uniwersytety ludowe*) są to wyższe kursa naukowe przeznaczone dla użytku dorosłej młodzieży, głównie dla ludności wiejskiej obojga płci. Myśl tych zakładów powstała przed 50-ciu laty, z Danii przejęły ją Szwecya, Norwegia i Finlandya, a w ostatnim dziesięcioleciu zaprowadzono je także w duńskich koloniach Ameryki północnej. Twórcą planu tych zakładów jest Seweryn Grundtwig, (1783—1872) znany duński poeta, historyk i duchowny. Śmiałe jego poglądy pedagogiczne znalazły swe wcielenie i praktycznie zostały wypróbowane w uniwersytetach ludowych. W pojmowaniu zadań życia, głównie zadań życia duchowego, różnił się Grundtwig zasadniczo od zdań swych współczesnych, a prawdopodobnie też i od poglądów dziś jeszcze pomiędzy pedagogami panujących.

Na zapytanie, jaki wiek uważać należy za najodpowiedzialniejszy do przyswajania wiadomości, odpowiadają wychowawcy bez wahania: „Wiek dziecięcy“. — Zdaniem zaś Grundtwiga jest nim wiek młodzieńczy, tj. lata pomiędzy 18-tym a 30-tym rokiem życia. Na zapytanie, w jakim wieku działa najżywiej wyobraźnia, brzmi zwykła odpowiedź: „W wieku dziecięcym“. Podług Grundtwiga atoli, wyobraźnia działa najżywiej w wieku młodzieńczym. Pomimo tej różnicy w zapatrywaniach zgadzają się jednak obie strony na to, iż czas nauki szkolnej i epoka najbujniejszego rozwoju fantazyi powinny przypadać jednocześnie, co też łatwo jest zrozumiałem. Właściwością wyobraźni jest pewna, że tak powiemy, zdolność wpatrzenia się w świat duchowy, wewnętrzny, bez której niemożliwem się staje przyswajanie wrażeń ze świata idealnego, pojęć oderwanych, relacyi o wydarzeniach odległych i przedmiotach niedostępnych bezpośredniej obserwacyi zmysłów. Do składników wyobraźni należy też pewna zdolność twórcza, która myśli zaczerpnięte z zewnątrz przyswaja i opracowuje, samodzielnie wytwarzając z zebranych materyałów indywidualną własność duchową. Warunków tych, zdaniem Grundtwiga, wyobraźnia dziecka posiadać nie może w stopniu dostatecznym i dla tego jest wielkim błędem pedagogicznym niszczyć przedwcześnie naiwny światopogląd, a przez to i równowagę duchową dziecka, zmuszać je do ślęczenia, na ławkach szkolnych obciążając mu głowę pojęciami przewyższającemi jego słabą zdolność pojmowania — obdzierać z uroku świetlaną epokę życia ludzkiego, w której synowie najmitów i synowie królów czują się jednako szczęśliwymi. Nic Grundtwiga przykrzej nie uderza nad przedwczesną mędrkowatość chłopców (Drengewidenskabelighet) oraz wypływającą z niej powierzchowną dojrzałość pełną zarozumiałości i przeceniania swych sił. Ze zdań tych jednak nie trzeba wnosić, iż dziecko nie powinno się niczego uczyć. Owszem! — do 12-go roku życia mają się dzieci nauczyć czytania, pisania, zasad arytmetyki, oraz znać także fakty z historyi własnego kraju i obcych narodów, głównie zaś znać w ogólnych zarysach przyrodę stron swojskich i cudzych. Rodzice religijni znajdą, ma się rozumieć, w tym czasie nie jedną sposobność do mówienia z dzieckiem o miłości Boga i bliźniego, atoli wszystko, co wywołuje konieczność krytyki i potrzebę wytworzenia własnego zdania, równie jak i wszystko co dla umysłu dziecięcego nie może być jeszcze zrozumiałem, powinno być z planu wychowawczego troskliwie usuwane. Wszechstronne, gruntowne wykształcenie, którego zadaniem jest zbudowanie silnych podwalin życiowych, nadanie jednolitego kierunku przekonaniom i dążeniom, rozpoczynać się powinno dopiero w wieku młodzieńczym. Wtedy bowiem budzi się samo poczucie i rodzi tęsknota za jasno wytkniętym celem życia, za rozszerzeniem widnokręgu myślowego, budzi się pragnienie ogarnięcia myślą całokształtu życia ludzkiego i znalezienia własnego w niem miejsca.

To zapatrywanie na wiek młodzieńczy jako na decydującą o obfitości przyszłego żniwa erę wiosenną, nie jest nowem, lecz nowem jest, iż mówiąc o reformie systemu wychowawczego, miał Grundtwig wszystkie klasy społeczeństwa w równej mierze na myśli. Pragnął, by i ci, którzy wiek dojrzały spędzają nad pługiem, nad warsztatem rękodzielniczym, lub na dalekich morzach jako marynarze, przejść mogli w zaraniu swego życia przez jasną, bogatą w treść epokę rozwoju młodzieńczego, epokę zaopatrującą umysł w siły moralne i w treść duchową na drogę życia. Za pośrednictwem ogólnego wyższego wykształcenia młodzieży pragnął też Grundtwig przyspieszyć polityczną dojrzałość ludu duńskiego. Po rewolucyi lipcowej r. 1830 zajmowano się w Danii gorąco kwestyą przedstawicielstwa ludowego. Grundtwig pierwszy w tym kraju podniósł zdanie, iż przedstawicielstwo to wymaga obywateli dojrzałych, wykształconych, świadomych swych praw i żądań, ludzi światłych, którzyby się umieli troszczyć o dobro swego kraju, zamiast stanowić ślepe narzędzie w ręku przywódców stronnictw. Najgłębsze znaczenie przypisywał nauce języka ojczystego, literaturze i historyi. Dokładne poznanie dziejów przeszłości, gruntowne obznajomienie z warunkami, w jakich żyły i rozwijały się minione pokolenia, są jedynemi środkami uniknięcia, by ludzie pragnący pracować dla dobrej sprawy sił swych nie trwonili w walce przeciw wiatrakom, lecz świadomie kroczyć mogli naprzód, szeroką drogą historycznego rozwoju, drogą spokojnych reform, w przeciwstawieniu do nieobliczalnych niebezpieczeństw przewrotów rewolucyjnych.

W licznych swych pismach podnosił Grundtwig znaczenie związku prawdy z rzeczywistością, pozostawiając twierdzenia, które tylko tak długo były prawdziwemi, jak długo nie opuszczały dziedziny dociekań oderwanych, myślicielom z obozu Hegla.

Szkołę w duchu swych poglądów pedagogicznych zamierzał Grundtwig założyć w Sor na wyspie Seeland. Atoli brak środków materyalnych stanął mu na przeszkodzie, — rząd odmówił mu swej pomocy. W krótkim jednak przeciągu czasu liczni jego zwolennicy zdołali drogą prywatnych składek zebrać fundusz dostateczny na ten cel, i pierwszy uniwersytet ludowy otwarty został w r. 1844 w Roding, na półwyspie Jutlandzkim. Kierownikiem był Kristian Flor, profesor uniwersytetu w Kiel. Wezwany do Roding, porzucił profesurę i jako gorący zwolennik zasad Grundtwiga, niezwłocznie udał się wraz ze swą rodziną do nowego „uniwersytetu ludowego“, by zamieszkać tam wespół z młodzieżą składającą się przeważnie z synów drobnych chłopskich posiadaczy ziemskich. W pierwszej tej szkole starano się wprowadzić w życie i rozwinąć idealne zasady Grundtwiga.

Zaangażowano najzdolniejszych nauczycieli, sprowadzono bogate zbiory pomocniczych środków naukowych, zaopatrzono szkołę w bibliotekę, zbiory mineralogiczne, botaniczne, zoologiczne, wprowadzono też praktyczny kurs gospodarstwa rolnego. Uczniowie przebywali w szkole przez dwie zimy i jedno lato. Co roku odbywały się wycieczki do Kopenhagi w celu zwiedzania licznych muzeów i zbiorów naukowych stolicy.

Atoli pierwsza ta szkoła miała wiele trudności do zwalczania. Biedniejsza ludność wiejska nie uczęszczała do niej przez nieufność, nawet otworzenie kursu gospodarstwa rolnego okazało się środkiem bezskutecznym na jej upór, dopiero następna, na prostszych warunkach przez Kristiana Kolda założona szkoła odpowiedziała całkowicie swemu celowi. Licznie uczęszczana przez synów najbiedniejszych wieśniaków stała się ogniwem pośredniczącem pomiędzy ludnością wiejską a późniejszym udoskonalonym uniwersytetem ludowym. Trudno byłoby znaleźć nauczyciela lepiej przygotowanego do posłannictwa ludowego nad Kristiana Kolda. Dzielny ten pedagog i przyjaciel ludu miał w sobie coś z ducha sokratesowego. Był początkowo misyonarzem

*) Patrz: Pastor C. Wagner: „Sittlichkeit auf dem Lande“.

*) Prof. dr. Zofia Kowalewska w „Wiestniku Jewropy“ nazywa je „Krestijanskija uniwersytiety“ tj. uniwersytety włościańskie czyli „chłopskie“.

w Azyi mniejszej, długie lata przebył w Smyrnie utrzymując się z introligarstwa, a uczuwszy wreszcie, że skuteczniejszą działalność rozwinąć może i powinien w kraju ojczystym, wrócił do Europy. Wysiadłszy na ląd w Tryeście, puścił się pieszo w drogę, tocząc przed sobą wózek z swemi rzeczami. Przewędrował w ten sposób całą Europę środkową. Podróż ta, (jak i działalność jego misyonarska, dały mu sposobność gruntownego poznania charakteru ludności wiejskiej, rozszerzyły znajomość ludzi, wzbogaciły go licznemi doświadczeniami. Był to człowiek niewzruszonych zasad i wielkiego charakteru, nauczyciel ludu „z Bożej łaski".

Wróciwszy do Danii, wynajął w Jutlandyi chałupę wiejską, gromadząc w niej koło siebie synów najuboższych włościan okolicznych. Na zapytanie zdziwionych swych sąsiadów, w jakim celu zwołuje tych młodych ludzi, odpowiadał: „Chcę ich rozbudzić!" Raz też na podobne pytanie Biskupa Monroda odpowiedział; „W 18-tym roku życia nauczyłem się kochać Boga, bliźniego i Ojczyznę, i to mię tak bardzo szczęśliwym uczyniło, żem już wówczas postanowił poświęcić życie swoje i siły, by innym młodym ludziom wlać w serca te same uczucia". I dotrzymał słowa. Umiał wkładać głęboką, pouczającą treść w każdą rozmowę i w każdy wykład. Wpływ jego w samej rzeczy „budził" dusze tych, którzy z nim obcowali. W szkole swej mieszkał razem z uczniami i jadał za wspólnym z niemi stołem. Po skończeniu wykładów, czytywał ze swemi uczniami najlepsze duńskie powieści historyczne i obyczajowe, poruszając w dyskusyi najrozmaitsze kształcące, żywotne kwestye. Ponieważ nauczyciel i uczniowie sypiali razem na strychu, rozmowy i rozbiory książek przeczytanych przeciągały się niekiedy późno w noc. Zapytania młodzieży i rozmowy pouczające nie ustawały i za stołem i przy pracy ręcznej. *J. Zan.*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z estrady i sceny.

(Fernanda.)

W czwartek ubiegły galwanizowano na scenie naszej ubezwładnioną już nieco „Fernandę" Wiktoryna Sardou, a snać się galwanizacya udała, bo utwór ten przemówił głosem silnym i wzruszającym do publiczności szerokiej. Lubownikom literackich nowalii i smakoszom artystycznym trącił on niewątpliwie myszką, ale ten demonicznie zręczny, na nerwach grający, pełen sensacyjnych efektów Sardouizm nie przestanie nigdy wywiorać głębokiego wrażenia na przeciętnych widzów. Zresztą temat rehabilitacyi upadłych kobiet, poruszony w Fernandzie, stanowi na równi z tematem wiarołomstwa małżeńskiego jeden z owych gordyjskich węzłów, który z tej i owej strony rozwiązać się starano, a który mimo to będzie zawsze otwartą a tem samem interesującą kwestyą. *Pardonnez! Fermez la porte! Tue la! méprise la,* — ileż to już podobnych haseł rzucano, starając się bez skutku nadać im charakter generalnej recepty. Kwestyi tej poprostu generalizować nie można; będzie ona zawsze kwestyą indywidualnego faktu, a i wtedy pozostanie sporną, względną i wątpliwą, zależną od kąta widzenia, temperamentu, subjektywizmu uczuciowego i osobistego udziału w nim sędziów. Tu poniekąd tkwi przyczyna dwóch wydań Fernandy z dwoma zakończeniami. W jednem mąż uwiedzionej przed ślubem kobiety postanawia po odkryciu hańbiącej tajemnicy *tolerować* w domu Fernandę, nie ma jednak odwagi *żyć* z skompromitowaną małżonką. W drugiem przebacza jej bez zastrzeżeń wszystko, zapomina o wszystkiem i tuli do serca tę, która padła ofiarą stosunków. Podobną dwoistość zakończenia skonstruował także w innych okolicznościach Ibsen dla swej Nory. Pierwotna bohaterka dramatu rzuca małodusznego męża i ciasny „dom lalek" ze stanowczem słowem „Nie wrócę", późniejsza żegna Helmera nadzieją: „Wrócę tu kiedyś może..... może ...." Są to, nie wykluczając innych jeszcze motywów, ustępstwa dla gustów przeciętnej publiczności, nienawidzącej zgrzytów i rozdźwięków a rozkochanej w słodkich finałach — ustępstwa dyktowane nieraz przez kramarzy, dzierżących w rękach swoich ster teatralny.

Tytułowa rola „Fernandy" nie jest w sztuce główną i dominującą, — na pierwszy plan wysuwa autor mściwą Klotyldę, której odtworzenie powierzono p. *Paszkowskiej.* Przyznaję otwarcie, że wstępowałem w progi teatralne z pewnym sceptyzmem w duszy, bo lubo niejednokrotnie już podnosiłem, że w nowej bohaterce zdobyła scena nasza talent pierwszorzędny, to przecież akcentowałem równocześnie brak tych przymiotów, których rola Klotyldy nieodzownie wymaga: swobody i rutyny. Akt pierwszy nie zadał kłamu przeczuciom moim. Artystka stąpała po scenie chwiejna, krępowana trwogą i ambarasem, lecz gdy kurtyna po raz drugi w górę się podniosła, wtedy zalety tego wielkiego talentu przemówiły całą gamą tonów świeżych, subtelnych i potężnych. Od artystki tak młodej nie można oczywiście wymagać doskonałości wszystkich bez wyjątku szczegółów, lecz ogólny rysunek typu i plastyka najwybitniejszych momantów psychologicznych wyniosły kreacyą p. Paszkowskiej na wyżyny prawdziwej sztuki. Pierwsza to rola bohaterki naszej, która mówiła, — w drugim i trzecim akcie mianowicie, — że włożono w nią nietylko bogate zasoby dramatycznej siły i artystycznego czucia, lecz znaczne zapasy oryginalnej pracy i poważnych studyów. To też Fernandę stawiam najwyżej z wszystkich dotychczasowych występów artystki; — Amelja i Judyta miały tylko chwile wielkiego piękna, Klotylda była typem artystycznym, — pierwsze wyrosły pod okiem mistrzów-profesorów, ostatnia jest produktem samodzielnej pracy. Ta oryginalność tworzenia rozstrzygnęła definitywnie kwestyę scenicznych kwalifikacyi p. Paszkowskiej, a rozstrzygnęła ją w takiej roli, o której wyrazistą interpretacyę tylko wielki talent pokusić się może. Trudna scena aktu drugiego z Andrzejem i szał zemsty w dyalogu z Pommerolem stały się objawieniem nietylko siły dramatycznej, lecz artystycznego czucia, unikającego szczęśliwie jaskrawości barw i nieprawdopodobnych choć może efektownych akcentów. W chwili, gdy Klotylda symuluje ostudzenie miłości, by bicie serca w kochanku swoim podsłuchać, w chwili, gdy słowa Andrzeja jak grom uderzają w jej duszę, a ona usta zacina i w maskę wymuszonej obojętności kryje lica swoje, artystka zrozumiała dobrze, że nadto wyraziste grymasy trwogi i bólu wysyłane „n a s t r o n i e" pod adresem publiczności stałyby się zaprzeczeniem praw realistycznego tworzenia, imputując bielmo na oczach partnerowi. Ta konwencyonalna dwoistość gry — wobec współdziałających z jednej, wobec widzów z drugiej strony — grasująca stale na poznańskiej scenie, zniknęła prawie zupełnie w interpretacyi p. Paszkowskiej. Artystka grała dla partnera swego i dla tego oblicze jej miało jakąś kamienną obojętność, tylko oczy grały przelotnie błyskiem złowrogim. Tem silniej przemówiła za to, na mocy prawa kontrastu, następna scena rozpaczy. Gdy sama z sobą została Klotylda i maska stała się zbyteczną, rozegrały się wszystkie namiętności w orkan potężny, a jeżeli podniosłem w jednej z dawniejszych recenzyi, że znamienną cechą talentu bohaterki naszej jest wybuch, to finałowa scena aktu drugiego i akt trzeci stały się piękną ilustracyą opinii takiej. Było coś przerażającego w grze p. Paszkowskiej, gdy Pommerol opowiadał historyę o zemście Sycylianki, i tyle temperamentu, tyle siły w scenę tę włożyła artystka, że w akcie czwartym wywierała wrażenie pewnego wyczerpania. Szkoda zaiste, że talent ten tylko za urlopem gości w Poznaniu i podobno z dniem pierwszego stycznia wraca na krakowską scenę.

W tytułowej roli Fernandy wystąpiła beneficyantka, pani M a j d r o w i c z o w a. Właściwości artystki tej scharakteryzowałem już niejednokrotnie, dziś zatem dorzucam tylko, że jest to indywidualność melodramatyczna, która w utworach takich jak „Dwie sieroty" lub „Sierota z Lowood" liczyć może na powodzenie, mniej natomiast zdobędzie uznania w zakresie poważnego dramatu. Posiada jednak pani Majdrowiczowa wyjątkową na scenie naszej zaletę: *pracowitość i sumienność artystyczną*, a o przymiotach tych świadczyła również rola Fernandy. W kobiecem otoczeniu tych dwóch bohaterek francuzkiego utworu wyróżniała się p. *Vernon* i p. *Wiśniowiecka.* Pierwsza w roli zazdrosnej Georgetty rozwinęła wiele scenicznej swobody, elegancyi i talentu charakterystycznego, druga w roli pani de Brionne stworzyła typ wyrazisty i żywy. Młoda ta artystka, której po raz pierwszy powierzono trudniejsze zadanie sceniczne, zdradzała chwilami pewne zalęknienie, ale głos jej dźwięczał czysto i żaden akcent fałszywy nie psuł tam harmonii.

W trudnej roli Andrzeja wystąpił pan *Wostrowski* i złożył nowe dowody uzdolnienia swojego. Nie znaczy to jednak, abym czwartkowy występ zaliczał do najwybitniejszych kreacyi w repertuarze tego artysty. Przeciwnie, psychologiczny rysunek zdawał mi się nieco bladym w akcie drugim, a końcowa scena z Fernandy miała kilka tonów nieszczerych i afektowanych. Prawdziwie silnym natomiast okazał się artysta ten w owej chwili krytycznej, gdy Klotylda o nocnej porze burzy szczęście jego rodzinne. Tu głos jego zagrał taką nutą stanowczości i tyle temperamentu było w mimice jego i ruchach, że potwierdził zupełnie pochlebne opinie, wypowiedziane w ocenie dawniejszych występów o talencie artysty tego.

Pan *Łaski*, któremu w zastępstwie chorego p. Skirmunta powierzono rolę Pommerola, nie zdążył oczywiście zadania swojego opanować i artystycznie wykończyć. Gra jego zdradzała bezustanną chwiejność i nawet nieposzpolita rutyna tego artysty nie zdołała maskować ambarasu. Natomiast należy się uznanie wyjątkowo starannej reżyseryi. Sceny *ensemblowe* odznaczały się potoczystością i umiejętnem ugrupowaniem, a nie miałbym nic do zarzucenia wystawie, gdyby nie dwie drobne, lecz rażące usterki. Wiem, że próby kostyumowe nie odbywają się w teatrze naszym, ale reżyserya powinna przynajmniej o tyle kontrolować tualety aktorów, by równocześnie nie występowała Georgetta w rotundzie o futrzanem kołnierzu i Fernanda w kapelusiku słomkowym. Te chęci popisywania się różnego gatunku strojami należy koniecznie poskromić tam, gdzie tego interes sztuki wymaga, bo scena nie jest wystawnem oknem modystki. — A w końcu jeden jeszcze komentarz. Jeżeli z toku sztuki wynika, że lustro ukazuje odbicie ulicy, jeżeli jeden z grających zwraca drugiemu uwagę na to odbicie, to należy sytuacyę przez odpowiednie ustawienie zwierciadła upra-

wdopodobnić. U nas jednak drwi sobie teatr z prawideł fizyki. Lustro swoją drogą i okno swoją, a ty publiczności wierz albo nie wierz, — cóż to obchodzi teatralnych fizyków!

W. R.

NA WYŁOMIE.

(Pod adresem Towarzystwa Przyjaciół Nauk.)

Na ostatniem posiedzeniu wydziału historyczno-literackiego „Towarzystwa Przyjaciół Nauk“ poruszono znowu kwestyę reorganizacyi tych „poznańskich Aten“. Czytano jakąś ciężką i nudną pracę historyczną, nadesłaną z daleka, a girlanda mężów poważnych otoczyła stół długi, na którym spoczywała księga mądrości. Zrazu panowała cisza wielka w tych murach, gdzie po tapicersku krepą ozdobiony portret Cieszkowskiego i gipsowe biusty Marcinkowskich, Koźmianów, Libeltów i Bentkowskich zdawały się mówić milczącemi usty; „Swiątynio nauki ty o nas pamiętasz“, a echo ironicznie przedrzeźniało: Cmentarz! - I była wielka cisza. Po chwili jednak szmer szedł po sali i szepty, Jedni poufne gawędki wiedli z sąsiadami, inni niespokojnie z zegarkiem w ręku tańczyli na krzesłach, niektórzy wreszcie przymrużyli oczy i drzemali z akademicką powagą na twarzy. A monotonny głos prelegenta brzmiał wciąż nieprzerwanie i do snu śpiewał słodką kołysanką. Wreszcie zamilkł. Przewodniczący otwiera dyskusyę. Cisza. Kto głos zabiera? Cisza. Zdawało mi się tylko, że kamienne twarze tych biustów z marmuru i gipsu uśmiechały się dziwnie....

Wreszcie z grona słuchaczy ozwał się głos buntu, — jedno z owych „enfants terribles“ wyrastających coraz częściej w dusznej atmosferze tragikomedyi poznańskiej, wśród cukrowych kolacyi naszych kostyumerów i różnego kalibru *„Lobdumirskich Lobichdirskich“*. I oto wśród ludzi żywych i umarłych tak mówił ten wieczny oponent:

„Maska na bok! Nikt z nas odczytu osądzić nie umie, zaledwie jeden go słuchał uważnie. To nie dziś wyjątkowo się stało, to symptom chronicznej choroby naszej, a imię jej: *Poza*. Nam się wydaje, że ubliżymy tradycyi Towarzystwa, jeżeli wyzujemy akademickie koturny, i dla tego bezustannie udajemy akademją. Na posiedzeniach naszych wytaczamy ciężki aparat naukowy, pożyczany często z daleka w braku miejscowych produktów, i symulujemy uczoność, zapał, przejęcie. Czytamy rozprawy o „bractwach różańcowych“, o zagadkach lingwistyki, o starych zabytkach literackich, o monetach i wykopaliskach, a w tej pleśni, rdzy i patynie zasypiamy snem błogosławionych. Słucha sam prelegent i jeden, dwóch najwyżej fachowców, — reszta udaje ciekawość. W tej obłudzie i w tym archaizmie wydziału tkwi główna przyczyna jego anemicznej wegetacyi. Lękamy się dnia białego, lękamy się życia, jakby to tylko nosiło znamię powagi, co umarło i pleśnią porosło. Cenimy tylko profesorską togę, choć ona dusi nasz rozwój, a najżywotniejszym zagadnieniom chwili drzwi zamykamy. Kwestya „oświaty ludowej“ puka do wrót naszych: „Pójdźcie, wejdźcie w naród i życie, podejmijcie akcyę nietylko abstrakcyjnie-naukową, lecz naukowo-filantopijną“, — my odpowiadamy: „Nie wolno! Statut akademicki stoi na straży bram naszych“. I dalej drzemiąc słuchamy odczytów o starych tekstach i historycznych włoskach, na czworo rozciętych. A przecież my akademią nie jesteśmy. Rozpatrzcie się tylko wokoło i członkom waszym zajrzyjcie w źrenice. Tu siedzi technik, tam budowniczy, ówdzie prawnik, dalej reporter, wreszcie teolog i bankier, — tacy członkowie składają olbrzymią większość Towarzystwa i na takich uczestników wydział historyczno-literacki liczyć tylko może. Naszych historyków i archeologów łatwo na palcach jednej ręki policzyć i dla tego posiedzenia zawsze świecić będą pustkami i dyskusya zawsze szemrać będzie milczeniem, jeżeli z akademickich wyżyn nie zstąpimy w niziny poznańskich stosunków, jeżeli profesorskiego wydziału nie zmienimy w kółko naukowe z hasłem popularności, aktualności i towarzyskości. Inne wydziały i pokrewne korporacye zrozumiały dawno niezbędność takiego kierunku. Jedni chwytają w lot każdą nowellę z dziedziny prawa, każdą kwestyę palącą z zakresu ekonomii, inni mówią o „wystawie etnograficznej w Pradze“ lub „stylu zakopiańskiej architektury“, my tylko uciekamy gdzieś w mroki dziejowe i przybytki starych pergaminów. Niechże sobie wreszcie roczniki Towarzystwa zatrzymają swój akademicki charakter, niech *ad hoc* wysadzone komisye zawodowe badają materyał nadesłany, ale na posiedzeniach naszych otwierajcie okna na rozcież: Niech strumień powietrza przepłynie, niech gwary życia zatętnią w tych murach.

Skończył malkontent, czekał odpowiedzi. Nastała chwila milczenia, a snać myśl wypowiedziana drzemać musiała w gronie zgromadzonych mężów, bo ani jeden głos zasadniczej opozycyi nie ozwał się w sali. Prezes Towarzystwa i prezes wydziału przyklasnęli nawet idei programowej, tylko pytali, gdzie inicyatywa, gdzie działacze nowego kierunku. Czyżby istotnie w pytaniu tem tkwić miała pięta Achillesowa projektowanej reorganizacyi? Mnie się wydaje, że ludzi nie zbraknie nowemu programowi, jeżeli tylko przekonamy społeczeństwo, że postanowienie nasze zerwania z tradycyą jest szczere i stanowcze. A pierwszy ten krok wyjść powinien ze strony kierowników. Ufając inteligencyi, ruchliwości i energii przewodniczącego wydziału, nie wątpię ani jednej chwili, że jeżeli tylko *głęboko uwierzy w konieczność reformy*, to wkrótce na ton inny nastroi posiedzenia Zorganizowanie szeregu popularnych pogadanek naukowych, w miejsce katedralnych odczytów, udać się musi nawet w tej nowożytnej Beocyi, której imię Poznań, a chociaż ludzie z początku zmianie prądów naszych ufać może nie będą, chociaż opinia „małej akademii“ nadto głęboko zakorzeniła się w publiczności, by w mgnieniu oka dokonać przewrotu, to bądź co bądź z posiedzenia na posiedzenie rość będzie liczba nawróconych. Tak długo pozowaliśmy na uczonych, archaistów i nudnych szperaczy, tak długo okazywaliśmy wstręt do każdej twórczości ducha ludzkiego, której pył wieków nie pokrył, że tylko *radykalny i konsekwentny* zwrot może nam znowu przywrócić sympatye inteligentniejszego obywatelstwa. I dla tego koniecznem jest usunięcie z posiedzeń wydziału historyczno-literackiego kilometrowych prac o zakroju akademickim, prac, przedstawiających interes jedynie dla małej garstki zawodowych badaczy. Te niechaj należą do komisyi, — uczestnicy posiedzeń żądają strawy popularnej i aktualnej, i taką strawę otrzymać powinni. Sprawozdania z najnowszych utworów belletrystyki, ocena wszystkich przedmiotów sztuki, ukazujących się na poznańskim bruku, kontrola czasopism naukowych, pogadanki o nowych kierunkach w literaturze i nowych zdobyczach historyi, odczytywanie oryginalnych utworów z dziedziny poezyi, żywe zajęcie się sprawą oświaty ludowej w tej lub owej formie, krytyczna ocena prowincyonalnego piśmiennictwa, rozpisywanie konkursów na oryginalne utwory powieściowe lub dramatyczne itp. rodzaje działalności zjednają nam niezawodnie wkrótce gorące uznanie społeczeństwa. Nie zapominajmy o tem, że Księstwo w ostatnich latach dwudziestu obniżyło znacznie swój poziom umysłowy, że zatem biret i toga Towarzystwa dziś więcej niż kiedykolwiek zakrawa na sztuczną dekoracyę. My sami czujemy już niestósowność takiego chodzenia na szczudłach, ale powtarzamy często, że tradycye nasze zachować należy *„pro honore domus“*. To małe słowo. Znam inne większe: *„Salus populi“*, — a ono właśnie dyktuje konieczność reorganizacyi wydziału dla rozbudzenia uśpionych umysłów.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

* **Konkurs literacki „Czasu“** został rozstrzygnięty w niedzielę 3 bm. Na zaproszenie redakcyi pp.: prof. dr. Kazimierz Morawski, doc. dr. Maryan Zdziechowski i doc. dr. Stanisław Estreicher przyjęli udział w komisyi konkursowej, w której skład weszli także redaktorowie „Czasu“: Michał Chyliński i dr. Stanisław Tomkowicz.

Z nadesłanych na konkurs 89 nowel zostały dwie, a mianowicie: „Mądry chłop“, godło: „Nie dajmy się“ i „Za góry za lasy“, godło; „$_{8}/_{11}$“, wycofane na żądanie autorów, z reszty zaś przeznaczyła komisya do druku 12 rękopisów.

Ze względu, że z pomiędzy nadesłanych prac trzy zasłużyły na szczególne odznaczenie, uchwaliła redakcya „Czasu“ utworzenie trzeciej nagrody w kwocie 50 złr.

Pierwszą nagrodę w kwocie 300 złr. przyznano pracy p. t. „Ksiądz Piotr“, godło „Ypsilon“.

Drugą nagrodę w kwocie 100 złr. przyznano pracy p. t. „Nauczycielka“. godło „Jesteś czem jesteś“.

Trzecią nagrodę w kwocie 50 złr. przyznano pracy p. t. „Biblioman“, godło „Amo te ergo es“.

Po otwarciu dołączonych kopert okazało się, że:

Autorem pracy p. t. „Ksiądz Piotr“, jest p. Kazimierz Tetmajer, współpracownik „Przeglądu Poznańskiego“, autor drukowanych w piśmie naszem nowel p. t. „Rzeźbiarz Merten“ i „Ku niebu.“

Autorem pracy p. t. „Nauczycielka“ jest p. Tadeusz Miciński, słuchacz filozofii na uniwersytecie Jagiellońskim.

Autorem pracy p. t. „Biblioman“, jest pan K. M. Górski.

* **Największy grzech.** Otto Ernst, znany krytykom z kilku zbiorów poezyi i szkiców a wsławiony wśród inteligentnej publiczności niemieckiej pięknym wierszem „Troska“, wystąpił w tym tygodniu ze swym pierwiosnkiem dramatycznym. „Największy grzech“ — tak ochrzczono dziecko zrodzone z małżeństwa Ernsta z Melpomeną. Utwór ten w wielu miejscach przypomina „Uriela Akostę“, lecz kopia zwykle bywa niedorosła do poziomu oryginału. Jeżeli Akosta na tle sfanatyzowanego tłumu, wsparty o ramię słabej duchem kobiety i czerpiący siłę swą z rozżarzonej ogniem ideału wielkiej własnej duszy — robi wrażenie wstrząsające, to bohater „Największego grzechu“, nauczyciel Wolfgang nie oszałamia, nie imponuje a niekiedy śmieszy, jako mazgaj. Walczy on o postęp i wolną myśl i piorunuje przeciwko dogmatom. Przekonania swe stara się zaszczepić w młodem i gorącem sercu swej ukochanej, córki bogacza, z którą go zaręczono, gdy ocalił jej życie. Nowe horyzonty otwiera on przed duchowym wzrokiem narzeczonej; rozmarzona dziewczyna wsłuchuje się z zachwytem w szczytne słowa młodego mistrza. Z niekłama-

nym zapałem, z siłą, świadczącą o głębokiem przekonaniu, z oburzeniem, zdradzającem szczere, młodzieńcze serce, smaga nielitościwie tchórzostwo myśli, obłudę, brak tolerancyi i obskurantyzm. Z uniesieniem opiewa miłość ku bliźnim i upośledzonym. Siew wydaje plon. Narzeczona i młodszy brat umiłowali poglądy nauczyciela Wolfganga i „poszli za nim“. Młody zapaleniec, który gromił dwulicowość, nie waha się wykładać swych teoryi przed ludźmi, wyznającemi przekonania biegunowo przeciwne. Stara się on przychylnie usposobić dla swych poglądów przyszłego teścia i teściową, jakąś pannę dewotkę i pastora; rozumie się, chybia celu i musi opuścić dom rodzicielski narzeczonej. Ta jest jednak tak oddaną swemu mistrzowi, iż postanawia towarzyszyć mu w wędrówce po ciernistej drodze życia i miłością swą koić rany, zadane przez bliskich jej ludzi. Życie ich małżeńskie, nieuświęcone wprawdzie przez błogosławieństwo kapłańskie, staje się idyllą; a ponieważ „aller guten Dinge sind drei“, więc do szczęśliwej dwójki przyłącza się wkrótce szczęśliwe bobo. Nie zrażając się dotychczasowem niepowodzeniem, nauczyciel Wolfgang chce zaznajomić całe miasto ze swemi poglądami; czyni to w odczycie, którego skutki są wręcz przeciwne tym, jakie miał na widoku. Zostaje wyklętym i, zamiast anatemy, spotyka go klątwa bardziej nowożytna — „bojkot“. Za grzechy niepopełnione cierpi i teść, za herezyę nielegalnego zięcia cofnięto przyrzeczony mu tytuł radcy handlowego. Śmierć zawiera przymierze z współobywatelami Wolfganga; gdy ci pozbawiają go utrzymania, tamta zabiera mu dziecko. Smutek, nędza i choroba panują w mieszkaniu młodego nauczyciela i jego żony. Pod naciskiem rozpaczliwego położenia i naporem wyrzutów upadającej na duchu żony, młody odszczepieniec wraca na łono prawowierności. Teść cofa swe przekleństwo i wyciąga rękę ze szkatułką, gdy młody apostoł przyrzeka zaprzestać propagandy. To właśnie jest „największym grzechem“. Wyrzekłszy się swych przekonań, które porodził we łzach i boleści myśli, które pielęgnował z całą miłością swej duszy i zapałem młodzieńczego serca, wyparłszy się tego, co było cząstką jego istoty, zahartowanej w ciężkich próbach życia i walkach myśli i o myśl, wprowadza się do pięknego mieszkania, ofiarowanego mu przez teścia. Na miękkich materacach ma uśpić dręczące go myśli, smacznemi potrawami ma nasycić głód ducha i żądzę mózgu, zabawy mają wykorzenić pamięć o doznanem upokorzeniu, o gwałcie dokonanym nad jego jestestwem. Jako przyjaciel domu bywa u nich krawiec, który wtajemnicza nieszczęśliwe małżeństwo w dzieje swych walk o niezależność przekonań; otwarte wyznawanie wolnomyślnych zasad sprowadza na niego, wskutek odpowiedniego tłomaczenia paragrafów prawa, trzechmiesięczne więzienie; towarzyszka jego życia wspiera go swą odwagą i zachęca do wytrwania w boju; lecz nim zasuną się za nim rygle więzienne, postanowił założyć stowarzyszenie postępowe, na czele którego ma stanąć Wolfgang.

Opowieść ta do tego stopnia wzrusza poczuwających się do „największego grzechu“ skruszonych i złamanych małżonków, że samobójstwem szukają wyjścia ze swego sromotnego położenia. Skuci miłością rozkuwają łańcuchy beznadziejnego życia.

* * *

* **Bartoszewicz o Sienkiewiczu.** Pod tym tytułem podaje warszawska „N i w a“ (Nr. 19) artykulik o wydrukowanej w naszym „P r z e g l ą d z i e“ krytyce „Rodziny Połanieckich“. Oto jej słowa:

„Ile to u nas i wszędzie zresztą na szpaltach czasopism, — w tej lawinie zadrukowanego papieru, który się zjawia codziennie, czy co tydzień, — ginie bez śladu, bez wzmianki jednej, myśli podniosłych, świetnych, uderzających prawdą i zdrowiem moralnem. Żal serce ściska, gdy się pomyśli, że tak szybko idą w otchłań niepamięci, nicości nicomal, artykuły, czy rozprawy, będące pracą długich miesięcy, tworzące owoc rozmyślań długich, dające czytelnikom naukę niejedną i niemałą. Godziłoby się zatem takie artykuły powtarzać i przez to przedłużać ich żywot. Do rzędu tych ostatnich należy również i krytyka „Rodziny Połanieckich“, napisana świetnem piórem Kazimierza Bartoszewicza. (W tem miejscu „Niwa“ podaje obszerny wyjątek z krytyki Bartoszewicza, — poczem dodaje jeszcze od siebie:) .... Wśród ogólnej powodzi pochwał, uniesień, zachwytów, ten głos trzeźwy krytyka wybitnego, wyrobionego, stoi odosobniony; niemniej przeto naszem zdaniem, po stronie Bartoszewicza, choć on sam jeden, tym razem jest słuszność.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Wiadomości społeczne i polityczne.** Nowy gabinet francuski przedstawił się izbie w ubiegły poniedziałek. Radykaliści i socyaliści przyjęli oklaskami deklaracyę rządową. Prawica i centrum słuchały programu w milczeniu, jedynie ustęp o obronie rolnictwa zyskał sobie u stronnictw tych uznanie. Senat na deklaracyę odpowiedział lodową obojętnością. — Parlament niemiecki zwołany został na 3 grudnia. Z okazyi tej przypomina Germania „Radzie Związkowej“ uchwałę parlamentu dotyczącą przywrócenia Jezuitów. — Głośnemu profesorowi D e l b r ü c k o w i wytoczono proces o obrazę politycznej policyi. Obrazy dopatrzono się w artykule, umieszczonym w „Preussische Jahrbücher“, a omawiającym stosunki policyi politycznej. — Wybór znanego antysemity dr Luegera na urząd nadburmistrza wiedeńskiego nie uzyskał sankcyi cesarskiej. Najzaciętszym przeciwnikiem Luegera jest podobno hr. Gołuchowski, minister spraw zagranicznych.

— **Teatr i muzyka.** Onegdaj odegrano na scenie naszej „Balladynę“. Obszerną ocenę odkładamy do numeru przyszłego, nadmieniając dziś tyle tylko, że wystawa odznaczała się, jak na stosunki nasze, wielką starannością. Zasługa i uznanie należą się p. Łaskiemu. — Dziś ukaże się na scenie teatru poznańskiego po raz pierwszy „Ciepła wdówka“ Bałuckiego; w repertuarze przyszłego tygodnia znajduje się wesoła farsa „Niobe“. — Kazimierz Zalewski ukończył nową sztukę czteroaktową pt. „Syn“.— P. St. Kozłowski złożył dyrekcyi teatrów pięcioaktowy dramat oryginalny p. t. „Turniej“. Treść zaczerpnięta jest z dziejów współzawodnictwa malarzy weneckich w dobie renesansu. — Paderewski koncertować będzie w Warszawie w miesiącu lutym. — W teatrze dysseldorfskim występuje z niezwykłem powodzeniem w operach wagnerowskich warszawianka p. Kaszowska. — Meiningeńczycy wprowadzili do repertuaru swojego Lindaua „Venus milońska“ i Molierowskiego „Tartuffe'a“. — Nowości repertuaru niemieckiego: Wolzogen „Daniela Weert“, Panizza „Dobry chłopak“, Schaumberger „Grzech przeciwko Duchowi świętemu“ i „Bella“. Wszystkie te utwory należą do kierunku realistycznego. — Były pruski minister wojny Verdy du Vernois napisał tragedyą w pięciu aktach p. t. „Alaryk“. — Sarze Bernhardt zarzuca prasa rzymska niepotrzebną „paryskość“ w Sudermanowskiem „Gnieździe rodzinnem“. — Hauptmanna „Święto rodzinne“ zjednało sobie wielki sukces w teatrze lipskim „Carola“. Akt drugi wywołał protesty. — Jan Strauss obchodził w dniu 25 zm. 70-tą rocznicę urodzin.

— **Próbka francuskiej uczoności.** Pewien lekarski dziennik francuski podał niedawno, jako rzecz godną uwagi pod względnm hygienicznym, szczegół, że w kopalniach Wieliczki istnieje całe miasto podziemne z ratuszem, salami na zebrania towarzyskie, kościołem, teatrem, dobrze zniwelowanemi ulicami, obszernemi placami, oświeconemi elektrycznością, i ludnością 10000 głów, wśród której znajduje się wiele rodzin, których członkowie od kilku już pokoleń na powierzchnię ziemi wcale nie wychodzą(?!). Przy tym ostatnim szczególe stoi znak zapytania, a następnie uwaga, że fakt ten jest najlepszym dowodem siły konserwacyjnej soli kuchennej (ce qui prouve une fois de plus la force de conservation du chlorure de sodium!) Nie ma co mówić, że jest to iście francuska informacya o najsłynniejszych na kuli ziemskiej kopalniach soli, licznie odwiedzanych przez turystów prawie z całego świata cywilizowanego.

— **Euzapia Palladino.** Telegram „Now. Wr.“ z Londynu donosi radosną wieść dla antyspirytystów, że Euzapię Palladino, głośne medyum neapolitańskie, spotkało najzupełniejsze *fiasco* w Cambridge, dokąd na szereg seansów była zaproszoną przez profesorów uniwersytetu. Wykryto wszystkie jej fortele. Palladino uciekła potajemnie z Cambridge. Cóż na to Warszawa?

Zmarli:

— **Ruggiero Bonghi,** publicysta i polityk włoski, zmarły d. 22 zm. w Torre del Greco, urodził się w Neapolu w r. 1828; miasto rodzinne porzucił w bardzo młodym wieku. We wszystkich większych miastach włoskich działał i wywierał wpływ w ciągu swego długiego żywota. Doszedłszy do dojrzałości, równocześnie był literatem, dziennikarzem, profesorem, nauczycielem prywatnym, estetykiem, filozofem, posłem, niejednokrotnie ministrem; przyjmował również czynny udział przy odkopywaniu starego Rzymu. Zmarły był gorliwym stronnikiem Francyi. Na polu literackiem debiutował w r. 1847, na polu dyplomatycznem w r. 1848 jako attaché przy ambasadzie rządu neapolitańskiego w Rzymie. Z dzieł jego do największych należą: „Życie i epoka Walentyna Pasini“, „Historya finansów włoskich“, „Mnich, papież, król“, „Leon XIII i Włochy“, „Portrety współczesne: „Cavour, Bismark, Thiers“, „Historya rzymska“ i wiele innych. Podczas dwuletniej karyery ministeryalnej (1874—76 r.) Bonghi zdobył sobie ogólne uznanie wprowadzeniem szeregu reform w ustawach uniwersyteckich.

Odpowiedzi Redakcyi.

— **Ciekawa.** Mesmeryzm jest poniekąd ojcem spirytyzmu. — Szczegóły podane przez Panią o prawdomówności piszącego stolika mogą się opierać bądź to na figlach jednej z współdziałających osób, bądź też na bezwiednych odruchach myśli.

— **Przyjaciel z prowincyi.** P. Kotarbiński wystąpi na poznańskiej scenie, o ile nam wiadomo, w Urielu Acoście, Makbecie, Zakochanym lwie, Esseksie i Hamlecie. Repertuar jednak nie jest dotychczas definitywnie ułożony.

— **Opiekun.** My w nadesłanych próbkach tego „olbrzymiego“ talentu nie widzimy. Są to próbki tak dyletanckie, że o publikacyi ich, — „choćby dla zachęty“ — mowy być nie może.

— **Józef S.** Zamieścimy i prosimy nadal o nas pamięć.

Za redakcyą odpowiedzialny Dr. Wł. Rabski w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.